This is a digital copy of a book that was preserved for generations on library shelves before it was carefully scanned by Google as part of a project to make the world's books discoverable online.

It has survived long enough for the copyright to expire and the book to enter the public domain. A public domain book is one that was never subject to copyright or whose legal copyright term has expired. Whether a book is in the public domain may vary country to country. Public domain books are our gateways to the past, representing a wealth of history, culture and knowledge that's often difficult to discover.

Marks, notations and other marginalia present in the original volume will appear in this file - a reminder of this book's long journey from the publisher to a library and finally to you.

Usage guidelines

Google is proud to partner with libraries to digitize public domain materials and make them widely accessible. Public domain books belong to the public and we are merely their custodians. Nevertheless, this work is expensive, so in order to keep providing this resource, we have taken steps to prevent abuse by commercial parties, including placing technical restrictions on automated querying.

We also ask that you:

+ *Make non-commercial use of the files* We designed Google Book Search for use by individuals, and we request that you use these files for personal, non-commercial purposes.

+ *Refrain from automated querying* Do not send automated queries of any sort to Google's system: If you are conducting research on machine translation, optical character recognition or other areas where access to a large amount of text is helpful, please contact us. We encourage the use of public domain materials for these purposes and may be able to help.

+ *Maintain attribution* The Google "watermark" you see on each file is essential for informing people about this project and helping them find additional materials through Google Book Search. Please do not remove it.

+ *Keep it legal* Whatever your use, remember that you are responsible for ensuring that what you are doing is legal. Do not assume that just because we believe a book is in the public domain for users in the United States, that the work is also in the public domain for users in other countries. Whether a book is still in copyright varies from country to country, and we can't offer guidance on whether any specific use of any specific book is allowed. Please do not assume that a book's appearance in Google Book Search means it can be used in any manner anywhere in the world. Copyright infringement liability can be quite severe.

About Google Book Search

Google's mission is to organize the world's information and to make it universally accessible and useful. Google Book Search helps readers discover the world's books while helping authors and publishers reach new audiences. You can search through the full text of this book on the web at `http://books.google.com/`

Google

Jest to cyfrowa wersja książki, która przez pokolenia przechowywana byla na bibliotecznych pólkach, zanim zostala troskliwie zeskanowana przez Google w ramach projektu światowej biblioteki sieciowej.

Prawa autorskie do niej zdążyly już wygasnąć i książka stala się częścią powszechnego dziedzictwa. Książka należąca do powszechnego dziedzictwa to książka nigdy nie objęta prawami autorskimi lub do której prawa te wygasly. Zaliczenie książki do powszechnego dziedzictwa zależy od kraju. Książki należące do powszechnego dziedzictwa to nasze wrota do przeszlości. Stanowią nieoceniony dorobek historyczny i kulturowy oraz źródlo cennej wiedzy.

Uwagi, notatki i inne zapisy na marginesach, obecne w oryginalnym wolumenie, znajdują się również w tym pliku – przypominając dlugą podróż tej książki od wydawcy do biblioteki, a wreszcie do Ciebie.

Zasady użytkowania

Google szczyci się wspólpracą z bibliotekami w ramach projektu digitalizacji materialów będących powszechnym dziedzictwem oraz ich upubliczniania. Książki będące takim dziedzictwem stanowią wlasność publiczną, a my po prostu staramy się je zachować dla przyszlych pokoleń. Niemniej jednak, prace takie są kosztowne. W związku z tym, aby nadal móc dostarczać te materialy, podjęliśmy środki, takie jak np. ograniczenia techniczne zapobiegające automatyzacji zapytań po to, aby zapobiegać nadużyciom ze strony podmiotów komercyjnych.

Prosimy również o:

- Wykorzystywanie tych plików jedynie w celach niekomercyjnych
  Google Book Search to usluga przeznaczona dla osób prywatnych, prosimy o korzystanie z tych plików jedynie w niekomercyjnych celach prywatnych.
- Nieautomatyzowanie zapytań
  Prosimy o niewysylanie zautomatyzowanych zapytań jakiegokolwiek rodzaju do systemu Google. W przypadku prowadzenia badań nad tlumaczeniami maszynowymi, optycznym rozpoznawaniem znaków lub innymi dziedzinami, w których przydatny jest dostęp do dużych ilości tekstu, prosimy o kontakt z nami. Zachęcamy do korzystania z materialów będących powszechnym dziedzictwem do takich celów. Możemy być w tym pomocni.
- Zachowywanie przypisań
  Źnak wodny"Google w każdym pliku jest niezbędny do informowania o tym projekcie i ulatwiania znajdowania dodatkowych materialów za pośrednictwem Google Book Search. Prosimy go nie usuwać.
- Przestrzeganie prawa
  W każdym przypadku użytkownik ponosi odpowiedzialność za zgodność swoich działań z prawem. Nie wolno przyjmować, że skoro dana książka zostala uznana za część powszechnego dziedzictwa w Stanach Zjednoczonych, to dzielo to jest w ten sam sposób traktowane w innych krajach. Ochrona praw autorskich do danej książki zależy od przepisów poszczególnych krajów, a my nie możemy ręczyć, czy dany sposób użytkowania którejkolwiek książki jest dozwolony. Prosimy nie przyjmować, że dostępność jakiejkolwiek książki w Google Book Search oznacza, że można jej używać w dowolny sposób, w każdym miejscu świata. Kary za naruszenie praw autorskich mogą być bardzo dotkliwe.

Informacje o usłudze Google Book Search

Misją Google jest uporządkowanie światowych zasobów informacji, aby staly się powszechnie dostępne i użyteczne. Google Book Search ulatwia czytelnikom znajdowanie książek z calego świata, a autorom i wydawcom dotarcie do nowych czytelników. Caly tekst tej książki można przeszukiwać w internecie pod adresem `http://books.google.com/`

WID-LC
PG
7158
.W446
R3
x
1873
t.4

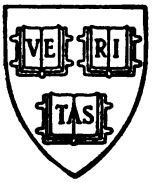

HARVARD
COLLEGE
LIBRARY

RAMOTY I RAMOTKI.

Gift of Tadeusz Sołowij
to the Harvard Library
March 1989

RAMOTY I RAMOTKI

AUGUSTA WILKOŃSKIEGO.

WYDANIE NOWE I ZUPEŁNE

Z ŻYCIORYSEM AUTORA

PRZEZ

W. SZYMANOWSKIEGO.

Z POPIERSIEM AUTORA.

TOM IV.

WARSZAWA.
NAKŁADEM I DRUKIEM JÓZEFA UNGRA.
ulica Nowolipki Nr. 2406 (nowy 3).

1873.

WID-LC
PG
7158
.W446
R3
x
1873

Дозволено Цензурою.

Варшава, 27 Апрѣля 1872 г.

t. 4

HARVARD UNIVERSITY
LIBRARY
APR 0 0 1984

89*1

W uśmiechu każdym zaparłem siebie,
Zaparłem gorycz, com ją wciąż pił;
— Raz tylko jeden na mojém niebie
Promyk radości jasno się lśnił.

O OWCACH I OWCZARZU.

O OWCACH I OWCZARZU.

Po raz trzeci ozwał się żyjący zegar na poddaszu słomianéj strzechy, w któréj się wczoraj przed straszliwą burzą na nocleg schroniłem; że zaś do téj rozgłośnéj *pobudki* dołączyło się i silne skrzydeł uderzenie, domyśliłem się, że już nie zadługo pożądany dzień dla mnie zawita.

Od pierwszych lat mojéj młodości koguta nad wszystkie inne przenosiłem ptaki;—a był u mojego ojca dawny towarzysz broni, stary kawalerzysta, który nas młode pacholęta konno uczył jeździć,—ów to weteran, którego opowiadań słuchaliśmy często z najwyższém rozognieniem a zawsze z przykładną uwagą, tak nam raz domowe ptaki określił: „Gęsi to są białe mieszczki, kaczki to są żydówki, indyki to są na zimno i na słoty niewytrzymałe szlachcianki, pawie to są ci *panicze*, których całą zaletą jest błyszcząca powierzchowność!!.."

— A koguty? zapytałem skwapliwie.

— Czy tobie podobają się koguty?...

— Bardzo mi się podobają.

Stary wojak podniósł mię na swoim ręku i ze łzą w oku serdecznie ucałował i spojrzał ku niebu i z rozczuleniem wymówił: „Będzie z niego żołnierz.“ i byłem całą duszą żołnierzem i jestem i będę żołnierzem...

Zabeczało cielę w sąsiedniéj komorze, odezwała się krowa w poblizkiéj oborze. — *Kruczek* na podwórku zaszczekał, Wojciech, gospodarz chaty, podniósł się z posłania, zajrzał do okienka a potém do swojéj żony zaszeptał:

— „Już gwiazdy nie widać; — Małgorzato! wstawajcie! podróżny pan kazał się rychle obudzić, potrzeba naniecić ogień i krowy przydoić, aby mu dać grzanego mleka na śniadanie.“

— Bóg wam zapłać, gospodarzu, ale pewno macie tylko jednę krowę; cóżby na to powiedziało cielę, gdybym mu jego śniadania uskąpił. Lubię mleko, lecz dzisiaj przez grzeczność dla cielęcia napijemy się gorzałki.

— Wielmożny pan nie śpi, to pewnie ten hałaśnik pod dachem wielmożnego pana przebudził.

— Ja rad jestem, kiedy mnie kogut ze snu obudzi.

— Miałem ja tu łońskiego roku koguta, co go

było słychać na milę; piękniejszego podobnom nie widział przez życie.

— I cóż się z nim stało?...

— Naparł się kowal z Glinianki i dał mi za niego siekierę; a właśnie nie miałem siekiery, bo mi ostatnią zabrał Jacek, nasz pijak gajowy.

— Tożeście zapewne w zakazanym dniu po drzewo do lasu jeździli.

— A juści że w zakazany, bo w porębny dzień chodziłem z ekonomskiemi włosami do owczarza po jakieś tam leki na darcie, którego dostał w prawą łopatkę, tak że i ręką ruszyć nie mógł.

— Kiedy więc w dniu porębnym chodziliście za ekonomskim interesem, należało ekonomowi powiedzieć, że wam siekierę z jego winy zabrano.

— Byłem u pana ekonoma, alem nic nie wskórał; rzekł mi, że mogłem czekać do piątku, do drugiego dnia porębnego; łatwo to przy gorącym piecu kazać zaczekać do piątku;—na dworze był trzaskający mróz, w chałupie kobieta chora, dzieci uziębłe, a przecież i człek chciał mieć przy pracy gotowane jadło.

— Wyrządzono wam niesprawiedliwość; ale do jakiego to owczarza chodziliście z ekonomskiemi włosami?

— Ztąd nie będzie jak ze trzy mile; — czy wielmożny pan o naszym owczarzu nie słyszał?..

— Nie słyszałem.

— Proszę wielmożnego pana, adyć to tam ludzi zawsze u niego jakby mrowia.

— Czy on pomaga?...

Nie wiem, jak komu ale co naszemu ekonomowi to wcale nie pomógł; a i zduny jeździli ze swoją córką, i chociaż jéj mówił, że za 20 dni będzie zdrowiuteńka, to jak była kaleką, tak jest kaleką. Jednakże musi on tam pomagać komu, boćby przecie panowie do niego nie jeździli.

— Jacyż to panowie jeżdżą do tego owczarza?...

— A panowie! karetami, koczami; dziedzice, dzierżawcy, ba nawet i księża; i z Warszawy przyjeżdża bardzo wiele starszyzny, het wszyscy jadą.

— Jak to,—naumyślnie do tego owczarza?

— A juści że naumyślnie.

— Mówicie, że ztąd 3 mile.

— Bo i nie będzie więcéj. Do Kalonki mamy jednę milę, a z Kalonki kamiennym gościńcem dwie milki.

Podczas téj rozmowy Małgorzata nanieciła ognia. Ubierając się, postanowiłem odwiedzić tyle sławnego owczarza. Gdym wyszedł do mojego woźnicy Jędrusia, już konie były oczyszczone i właśnie drugą oś u telegi smarował.

Był to przepyszny poranek przy końcu miesiąca lipca; blady brzask jutrzenki ustępował różanym gońcom, co z każdą chwilą coraz więcéj złocistego nabierały połysku. Sklepienie nieba i całéj ziemi widnokrąg boskie dnia światło odkryło.—Na ciasném podwórku ubogiéj zagrody pług i narzędzia rolnicze budziły myśl do poczciwéj pracy.—Zewsząd szerzył się uroczy głos życia;—śpiew ptasząt, rozmowy ludzi, ryk bydła, rżenie koni, rosły w ten niewysłowny gwar wiejski, co tak tkliwie do czystéj duszy człowieka przemawia. Chwilę sielskiéj zadumy przerwał hałaśnik z poddasza, który, poważnie krocząc z nogi na nogę, zbliżał się do stajni; miałem więc sposobność poznania głośnego rycerza i przypatrzyć się jego połyskującym się piórom, jego zawadyackiéj postawie, jego czerwonemu grzebieniowi, co to tak groźnie porusza się nad zaczepném spojrzeniem zawsze do walki chętnego młodzieńca.

Domyślając się, że pan żołnierz jest jeszcze na czczo, wydmuchałem z obroku kilka garści owsa i rzuciłem przed wojackie gardło waszeci.—Spostrzegłszy gołe ziarno, krzyknął kawaler; przyskoczyły czubate kury i pstre kurczęta, przykołysały się z chlewika poważne gęsi, zjawiły się łakome kaczki i cały ród pierzasty, na który Małgorzata radośném spoglądała okiem, wspólne

pożywał śniadanie.—Tymczasem cielę, przez Marysię do obory wpuszczone, czerstwemi dziąsłami zmuszało mamulę krowę do najobfitszego przypuszczania mleka; Jaśko na siwym koniu z nocnego pastwiska powrócił; nierogacizna szukała przejścia w chróścianym płocie, aby najbliższy ogród warzywny nawiedzić można; a i trzy czarne owieczki stały przy wrotach podwórka, domagając się głośno, aby je na trawę puszczono.

Ten malowniczy obraz dozupełniony został małym jasnym chłopczykiem, który boso, w białéj koszulce, stanął na progu chałupy i już to witał się z Kruczkiem, stróżem zagrody, już to spoglądał na srokatego bociusa, co stojąc na czerwonéj nodze, przypatrywał się z wierzchołka starego dęba, jak jego dzieci na poblizkiéj łączce za żabami chodziły.

Marzenie o szczęściu wiejskiego życia ludu naszego zniszczył ochrypły głos ekonoma, co krzyczał, aby trojgiem wychodzili na pańszczyznę. Że zaś Jędruś już konie do telegi założył, podziękowałem więc gościnnemu Wojciechowi za nocleg pożegnałem się z Małgorzatą, z Marysią, z Jaśkiem i z maleńkim Maciusiem i wskazaną mi drogą ruszyłem do owczarza lekarza. Nie był to wprawdzie wczorajszy cel mojéj podróży; ale dzisiejsze opowiadanie chłopka, że do owczarza tru-

Witał się z kruczkiem.

dno się przed panami przecisnąć, że tam jak mrowia schodzi się ludzi, którzy u niego lekarskiéj szukają pomocy, powiodło i mnie dzisiaj do miejsca, w którém spodziewałem się znaleźć obfity przedmiot do napisania ramotki.—Już w Kalonce spotkałem kilka powozów warszawskich, naładowanych choremi, nieco daléj jedzie bryczułką szlachcic o szczudłach.

— Czy pan dobrodziéj do owczarza?

— Do owczarza, panie dobrodzieju!

— Wjeżdżam w las, toczy się landara, pełna kobiet i dzieci;—pytam się służącego, który, siedząc na tłomoku, oczy z kurzu wycierał:

— Do owczarza jedziecie?...

— Do owczarza.

Głębiéj w las idą posłańcy z flaszeczkami;—mija mnie ekstrapoczta z oficerem, który miał materacykami twarz owiązaną;—i znów bryczka z dwoma paniami i znów koczyk z wywiędłym kawalerem, ani wątpić było można, że i młodzieniec do owczarza spieszy. Począłem się niecierpliwić, rychłoli zobaczę tak bardzo wziętego Eskulapa, aliści wreszcie las począł swe ciemne czoło rozjaśniać i pokrótce ukazało się dojrzewającém zbożem okryte pole i tuż przy lesie widać murowany dom zajezdny a na około karety, landary i kocze,—bryki, bryczki i bryczułki,—wozy, wóz-

ki i wózeczki, a ludu rozmaitego stanu, płci i wieku—nie skłamał Wojciech, gdy mówił, jakby mrowia.

O umieszczeniu moich koni pod dachem ani myślić było można.

— Jędruś, naści złotówkę na strawne, daj koniom siana na murawie a pilnuj się, żeby kto od nas czego nie pożyczył.

— Niech się jegomość nie turbuje, już ja tu dam baczność.—

W ten sposób zapewniony przez Jędrusia, że się nie mam potrzeby turbować o bezpieczeństwo rzeczy moich, wyskoczyłem z telegi i pośród tłumu różnorodnych osób udałem się do gospody.

W obszernéj i porządnéj izbie szynkownéj ładna rudowłosa gospodyni na czele trzech zwinnych dziewcząt zatrudnioną była przy kominie nalewaniem kawy i herbaty;—zamarszczona i umorusana kucharka wałkiem tłukła wołowe mięso na pieczeń czy bifsztyk (beefsteak);—usmolony chłopak skubał przy piecu kurczęta na rożen; sam zaś gospodarz stał za szynkwasem i sprzedawał gorzałkę, zapewniając pytających się o owczarza, że pan owczarz niezadługo przyjedzie.

— Więc on tutaj nie mieszka?

— Mieszka pół mili ztąd, w lesie, ale jeno go widnąć.

— Proszę pana — ozwała się obok stojąca wiejska kobieta, — my tu już dwa dni czekamy.

— Jak to? — dwa dni czekacie? To się nie godzi, aby dozwolił chorym ludziom dwa dni czekać na siebie i narazić ich przez to na stratę czasu i pieniędzy.

Obejrzał się na mnie gospodarz, zmierzył mnie badawczym wzrokiem i uprzejmie zapytał, ażali nie raczę odpocząć w jego pokoju, który to pokój jest połączony przez szynkwas, w murze wybity, z wielką izbą szynkowną. Przyjmując zaproszenie, zażądałem szklankę kawy; — gospodarz krzyknął: — „Żono! kawy dla pana ale zaraz!“ — i podał mi krzesło i oświadczył, że pan konsyliarz niezadługo przyjedzie.

— Czy ten wasz konsyliarz jest rzeczywistym lekarzem czy tylko *szarlatanem*?...

— Mówią *ludzie*, że pomaga.

— Pan z nim na spółkę dzierżawisz ten dom zajezdny?

— A nie! on trudni się samém tylko leczeniem.

— Dlaczegoż dozwala, aby chorzy po dwa dni na niego czekali!

— Wyjeżdżał do Siedlec i dopiero wczoraj rano powrócił.

— Mieszkając tylko o pół mili drogi i wie-

dząc, jak wiele ludzi na niego oczekuje, mógł przecież od wczoraj rana przyjechać...

— On miewa czasem takie chimery; ale jeno go widnąć, już dwa razy posyłałem dzisiaj po niego.

Napiwszy się kawy z cykoryą, wyszedłem przed bramę w zamiarze pomówienia z tymi ludźmi, którzy po pomoc lekarską do owczarza przybyli i nadspodziewanie spostrzegłem dotkliwą chorobą wycieńczonego wieszcza, znanego z szlachetnych uczuć i z wielkich nieszczęść swoich.

— Cóż ty tu porabiasz?.., zapytałem go z drżeniem serca.

— Przyjechałem z chorym bratem moim; obadwaj szukamy u owczarza pomocy, któréj nie znaleźliśmy u doktorów.

— Gdzież jest twój brat?...

— Leży w łóżku po 2 numerem.

— Czy pozwoli się odwiedzić?...

— Owszem, będzie mu przyjemno.

Dwie godziny spędziłem pod 2 numerem; brat poety opowiadał mi, że już przed 4-ma tygodniami był u owczarza, że on odgadł jego chorobę najzupełniéj, że mu *nieco* pomógł.

— Biedna to pomoc, — pomyślałem w duchu — kiedy tak nędznie wyglądasz. — Jakiż

to człowiek ten owczarz? czy on udaje nieumiejętnego, czy istotnie posiada jaką naukę?

— Żadnéj nauki; jest to po prostu owczarek bez najmniejszego ukształcenia w mowie i w całém swojem obejściu.

— Jakżeż on mógł odgadnąć twoję chorobę i jakżeż mógł wpłynąć na polepszenie twojego zdrowia?

Chory ruszył ramionami i po chwili milczenia odpowiedział:

— Poznał chorobę i pomógł mi cokolwiek.— Mówił to do mnie człowiek bardzo rozsądny, ale człowiek w kwiecie wieku najboleśniejszą dotknięty chorobą, a więc pod wpływem rozpaczy i nadziei, człowiek, dla którego wiara w nadnaturalność stawała się ulgą moralną a więc i chwilowo fizyczną, człowiek, któryby i we mnie pokładał wiarę lekarską, gdybym go léczyć chciał. Obydwaj bracia budzili we mnie litość najwyższą i chętniebym największym poświęceniem się ich życie przedłużył, obadwaj bowiem do najszlachetniejszych ludzi należą. Skarga poety, że już drugi dzień na owczarza czekają, oburzyła mnie na nowo i natychmiast wyprawiłem umyślnego posłańca do pseudo-lekarza, ażeby przyjeżdżał niebawem, jeżeli się nie chce narazić na najdobitniejsze napomnienie.

Tymczasem rozeszła się pośród czekającego ludu wiadomość, że owczarz już wyszedł z domu i że niezadługo nadejdzie; przyjechał jakiś opuchły jegomość, który był u owczarza w jego pomieszkaniu i zapewniał, że mówił z owczarzem i że pan owczarz przyrzekł za godzinę przyjechać. Przyjechał pan sekretarz pana owczarza i oświadczył, że pan konsyliarz wyszedł na polowanie i skoro kilka ptaszków zabije, przyjdzie najniezawodniéj. Pan sekretarz pana owczarza odjechał do poblizkiego miasta; słyszeliśmy wystrzały po lesie więc pan owczarz daleko od nas być nie mógł;—powrócili posłańcy, donoszą, że owczarz zabił trzy ptaszki i że niezadługo nadejdzie;—gospodarz szynkarz podając gościom rachunki zapewnił, że *tylko co nie widnąć* pana owczarza; powróciły baby z lasu, przynosząc uzbiérane zioła i zaklinały się, że widziały pana owczarza; przyjechał chłopek z furką gałęzi i mówił że pan owczarz zabił czwartego ptaszka; — jam już począł rozmyślać, czy należy mu skórkę wygarbować, jak się pokaże, gdy naraz kilkunastu zawołało ludzi: „*Idzie! idzie!*“

Zgłodniały jastrząb po najdłuższém oczekiwaniu na zdobycz nigdy się z taką szybkością nie rzuci na spostrzeżonego ptaszka; przez noc całą czychający kot nigdy z taką chciwością nie sko-

Pan sekretarz pana owczarza.

czy nad ranem, gdy się myszka z ukrycia wynurzy, z jaką szybkością skoczyli ku owczarzowi oczekujący na niego chorzy i kalécy; niczém jest radość rozpaczającéj kochanki, gdy drogi kochanek po pełnej niebezpieczeństw wojnie nadspodziewanie przed jéj zapłakanemi pojawi się oczyma; niczem jest skwapliwość ubogiego żydka gdy po najdłuższych świętach zdarzy się dla niego pierwsza sposobność handlu, — w porównaniu z radością, jaką okazał na widok owczarka lud, wierzący w jego lekarską potęgę.

Z przewieszoną na ramieniu strzelbą szedł wolno, niedbale i obojętném okiem spoglądając na liczne zastępy, które mu zewsząd zabiegały drogę; ani najlżejszém skłonieniem głowy nie odpowiedział na mnogie ukłony witających go osób.

Na moje zapytanie, dlaczego tak długo polował, rzucił gniewne spojrzenie i odrzekł: „Gdzie jo tam polował.“ Gdy przyszedł do szynkownéj izby, oddał strzelbę uniżonemu dlań gospodarzowi; następnie obydwaj szeptali w przybocznym pokoju przez minut pięć; potém poszedł do stajni obejrzéć swojego konia; potém wypił butelkę porteru i rękawem oczyścił wąsy i usta swoje; potem przycisnął palce do nosa dla wypłoszenia bobaka; potem ziewnął i przeciągnął ramiona i ręce do góry, jakby po niewywczasie; potém

odchrząknął, i splunął, i przystąpił do cisnącego się tłumu,—aby w jasnowidzeniu na jawie ogłaszać łatwowiernym wyrocznie przyszłości, teraźniejszości i przeszłości ich zdrowia.

— Ale no gorzéj, ze mój człowiek nie powrócił jesce z miasta a jo tam pisać nie umiem.

— Jeżeli pan pozwoli, ja będę pisał.

Spojrzał się na mnie pan owczarz i odpowiedział: „A kiedy umiéta pisać to piscie.“—Poskoczyłem z radością po papiér, pióra i atrament; udaliśmy się do gościnnego pokoju i zaczęła się komedya śmiészna ale oburzająca.

Pozwolisz, panie konsyliarzu, że ja najpiérwéj zapytam się o radę; czekam dwa dni, jestem bardzo cierpiący. [1])

Wziął moją rękę mniemany doktór i trzymając ją przed swoim nosem, nie z dłoni ale z wierzchu ręki, przymrużywszy oczy czytał co następuje:

---

[1]) Czytelnikom téj ramotki zaręczam pod słowem uczciwości, że należę do najzdrowszych ludzi na świecie. Jem, śpię, trawię, jak tylko można najlepiéj;—żadnych, ale to co się nazywa żadnych dolegliwości nie czuję ani w boku, ani na dołyszku, ani w piérsiach ani w krzyżu. Głowa, zęby, oczy, nigdy mnie nie zabolały ani na chwilę, wyjąwszy gdy w ciemności czołem w cegłę albo w twardę drzewo uderzę. Miewam wprawdzie około 1-széj z południa pewne mdłości żołądkowe, ale jeden talérz rosołu i dwa funty pieczonéj wołowiny są dla mnie na tę słabość doświadczoném i najskuteczniejszém lékarstwem.

Najlżejszém skłonieniem głowy nie odpowiedział na mnogie ukłony witających go osób.

— Wrzody na wątrobie, kanały zaflegmione, kurc zołądka, fluks i romatyzm; przed dwoma laty było nadęcie kiski, dresc i zimne poty, gorzki smak w gębie i grucały strofulicne na syi. Pon się przeziębił za młodu, potrzeba było z razu kąpać się w tatoroku z liśćmi z łopianu, okładać *krzyze i zołądek*, teraz to juz nic nie pomoze i nalezy robić to co ja tu podyktuję.

— Ale ja miewam także szum w głowie.

— To się wie, psecie powiedziałem, ze pon miewa dresc na ciele i sum w głowie.

— Czasem puchną mi nogi i ręce tężeją.

— To się wie, z przeziębienia zawse nogi puchną.

— I sypiać nie mogę.

— Jak się kanały wycyscą z flegmy, będzies pon sypiał *kwardo* jak kamień.

— Pozwolisz pan sobie jeszcze powiedzieć że ja przed rokiem miałem tak silne uderzenie krwi do głowy, że przez cały miesiąc nic nie widziałem i nie słyszałem.

— Nie trza mi tego powiadać, bo ja wsytko widzę i wiem i mówiłem, ze strofuły są; to one się rzuciły na ocy i na usy.

— Potém przez pół roku miałem krótki oddech i czułem ból w lewém uchu tak wielki, że często wytrzymać nie mogłem.

— Naturalnie ze krótki oddech, kiedy wrzody są na wątrobie; a ze lewe ucho bolało, to pochodzi ze skrufułów zaziębionych za młodu, i jechaliście tak, ze z lewéj strony mrożny wiatr dokucał, jak jo powiedział; mnie nie trzeba gadać, ja wsytko wiem — niech pan pise:

1. Podbiału liścia, ślazu korzenia, bluscu z grabu, po garści dwurącznéj, — wodą mięką nalać, zeby się gotowało pod spontem (nie kwardo); 2 godziny po wygotowaniu odcedzić i pić co kwadrans po kielisku, a osobliwie przy tych napojach wziąć lebiodki ziela pół funta, macierzanki tak samo i tataraku korzenia funt 1, razem ugotować w kotle z kwaterką soli i wylać do wanny i w téj się kąpać rano i wieczór w téj saméj ogrzanéj, — jak robi uderzenie, wyjść. — Kąpiele nie gorące, po każdéj kąpieli utrzeć zywokostu na tarce, świezego, i korzenia wyciągaca tak samo, krwawniku listków, i do tego dołącyć spirytusu, oliwy, masła niesłonego i pscelnéj maści, wsystkiego po trochu i zywicy świerkowéj stopić, przecedzić *bez* durslag lub serwetkę, rozsmarowywać na chusteckach niekrochmalnych i kłaść niżéj krzyza.

— Mam ja jeszcze włosy mojéj siostry; czyliby pan nie był łaskaw obaczyć, na co choru-

je. — Wyjąwszy z kieszeni włosy, które przed godziną ustrzygłem Jędrusiowi, mojemu woźnicy, podałem je owczarzowi; — były to włosy miękkie, konopiaste.

Pan owczarz badawczo pomacawszy włosy i znalazłszy je miękkie jak jedwab', zaczął prawić ź największą pewnością:

— To źle; ona nie miewa jak się należy, przypadłości i po matce dostała hemoroidy, co ją dręcą, a ze jest krwista i ma słabe nerwy z urodzenia, więc się choroba wzmaga i potrzeba rychło zaradzić, bo wam umrze dziewucha a skoda, bo musi być ładna, sak niebieskie ma ocy.

— Owszem czarne.

— To się wie, ze carne, jo tak tylko powiedzioł, ale jest psyjemna; niech jeno pon pise:

2. Podbiał slaz, izopu łodygi, sałwia tak samo po garści i lukrecyi drzewa kawałek, cola wielkości do garka garcowego z wodą mięką pod spontem gotować godzin dwie, przecedzić i pić letnio kilka razy w dzień, jak najczęściéj; — a na noc miodu starego do sklonki mleka przegotowanego dolewać podług upodobania. — Osobliwo na każdą noc: zrost i zywokostu korzenia pół na pół pokrajać dobrze i zmię-

sać na wpół z tłustością wieprzową młodą nie słoną, — ugotować pod spontem a po wygotowaniu dobrze utrzeć i jak kataflazmę przykładać ciepło na deskę piersiową, to dobrze obwinąć i przez całą noc trzymać tak, aby powietze nie zachodziło, na dzień świeze i to ciągle przykładać przez miesięcy dwa. — Ta sama kataflazma moze być odgrzewana dwa razy, dodając tłustości. Trzy razy zaś dniem niechaj ta osoba pije po pół kieliska krwi, z wróbla utoconéj. [1])

Owsiany kleik zaleca się.

Dieta: kwasów zadnych, pieprzu, wieprzowiny i rzeczy rozpalających nie używać, słonych rzeczy nie używać także.

Barsc i cytryny mozno. —

— Mam ja tu jeszcze wodę mojego dziadka; jest on bardzo stary i zupełnie łysy, nie mogłem więc przywieźć jego włosów, ale tam u nas powiadali; że pan konsyliarz i z wody pozna każdą chorobę.

— To mnie wsytko za jedno, cy z włosów cy z wody niech pan pokaze.

---

[1]) Znam żonę zacnego urzędnika z Warszawy, któréj także ten sam owczarek wróblą krew trzy razy na dzień pijać polecił.

Starość nie radość, zwyczajnie nie statkował za młodu.

Podałem flaszkę z moczą lejcowego wałacha (sic).

Pan konsyliarz, przypatrzywszy się wodzie, kiwnął głową i rzekł: Starość nie radość, zwycajnie nie statkował za młodu, potrzeba przy końcu pokutować; pański dziadek [1]) ma skwardnienie wątroby, zganie i rumatyzm w krzyżu, hemoroidy i niecyste kanały a przedewszystkiém miewa cierpienie w pęcherzu, niech pon pise:

— Maruna, melisy i macierzonki, wszystkiego po scypce do kwartowego garnka w wodzie miękiéj gotować $1^1/_2$ godziny, przecedzić i pić dosyć ciepłe trzy razy dziennie — pić przez dni 15.

Osobliwo zaś: — tatarakowego korzenia dwa funty, lebiudki funt 1, gotować w kotle i wlewać do wanny, w téj kąpać się rano i w wieczór; woda ma być pod pachę. *Po każdéj kąpieli* pić gotowany jałowiec i jesce przetopić z łyzkę masła niesłonego i pół kwaterki wina węgierskiego, tém polewać, jak powiedziano, i to robić przez dni dziewięć.

Potem pijawek na samem sercu postawić

---

[1]) O dziwy! Więc oddawna zmarły dziadunio miałby dzisiaj być kasztanowatym wałachem!???

w okregu talara; jak krew zupełnie ustanie po 3—4 godzinach położyć synopizmę na te miejsce, gdzie byli pijawki.

Goić śmietanką po wyjściu wody. [1])

Dieta: kwasów i wieprzowiny nie używać i nic rozpalającego.

NB. Śliwki *Adamaski*, za zelazną bramą. —

Już mi cierpliwości zabrakło i miałem mu rzucić w oczy kałamarz z atramentem, gdy bardzo otyła kobieta przecisnęła się do pokoju i z płaczem prosiła, aby jéj pan owczarz dał posłuchanie, twierdząc, że jéj jest bardzo pilno do domu.

Konsyliarz rozumiejąc, że ta kobieta jest cierpiącą, chwyta ją za rękę i roztwiera usta do ogłoszenia swego jasnowidzenia na jawie, lecz tłusta jejmość wyrywa z przelęknieniem swoję rękę i z gniewem rzecze:

— Jam nie chora, to mój brat waryat, co mu pan doktor kazał pić odgotowany żywokost ze stręczynami z bobru i z ogonem od czarnego barana i okadzać głowę trzy razy na dzień żywicą z jedliny.

— No i cus? cy robił, com jo mu kazał?

---

[1]) Jako wierny historyk jasnowidzenia nie zmieniam ani składni ani wyrażeń.

Łzes, pani! ja tego nie mówił, bo od waryacyi zawse kazę kataflazmować za usami.

— A robiliśmy wszystko, ale on jak waryował tak waryuje i wczoraj potłukł mi garnki i talerze, a pan doktor mówił, że on za 15 dni będzie zdrów.

— A któż to kazał pić? jo mówił, zeby się w téj wodzie kąpał. O lo-Boga, lo-Boga! co wy tes za ludzie jesteście! A to scęście, ze nie umarł! — A cus cy? kataflazmę z brzozowego mesiku, w serwatce z tureckim pieprzem gotowaną, przykładał reguralnie za usami?...

— Pan kazał mu kłaść na karku nie za uszami.

— Łzes pani! ja tego nie mówił, bo od waryacyi zawse kazę kataflazmować za usami; — to tak nie dobrze słuchata i tes wsytko nie dobrze. Naturalnie kiedy nie robita, jak *kazę*, więc tes wsytko na psa się zdało; — a bo jo to raz jednego albo dziesięciu od waryacyi ulecył? To ze jus latosiego roku trzech waryatów wylecyłem i jesce mi dziękowali; ale kazdy z nich robił jak jo przepisał i nie pił tego, w cem ja się kąpać kazał.

— Więc cóż mi pan dzisiaj poradzi?

— To samo, co pierwéj, tylko zamiast pić to trzeba się w tém kąpać.

— Jakże się kąpać, kiedy to pan kazał tylko w jednym garncu wody ugotować; czy po-

dobna, żeby mój brat, który jest głową wyższy odemnie, wykąpał się w jednym garncu!

— Godata, godata i plecieta zawse nie do rzecy; kozołem w garncu wody ugotować i wlać do wanny z wodą pod pochy.

— Już to pan chyba się pomylił, boć przecie dyktował pan, żeby pić po kieliszku trzy razy na dzień.

— To kazałem pić ciemięzycę i burak w occie mocony; wy myślita, że jo nie pamiętam; jo pamiętam, co przed dwudziestu laty mówiłem.

Tłusta jejmość, nie mogąc przeprzeć bezczelności owczarza i zaklinając się, że pan owczarz wprzódy ani słowa o ciemięzycy, o buraku i o occie nie mówił, prosiła go, aby jéj raz jeszcze podyktował, w czém się jéj brat ma kąpać i co pić powinien. Pan owczarz poprawił pomyłkę, ponowił zapewnienie, że waryat będzie zdrów za dni 15 i tłusta jejmość, dawszy panu konsyliarzowi złp. 5, z nadzieją uleczenia brata odjechała do domu.

— Tuż za tłustą jejmością pojawiła się matka, ciężką chorobą pięcioletniego synka swojego ztroskana, i stojąc z pokorą przed jasnowidzącym na jawie, podaje włosy swojego dziecka i prosi o udzielenie rady. Jasnowidzący, wziąwszy włosy do ręki, z poważną miną wyroku-

je: „Sam sobie winien, za nadto pozwalał sobie z kobietami, często tez lubił napić się, to tez skrofuły jęły tocyć ciało, zapchały się kanały a doktorskie leki najwięcéj mu zaskodziły: źle z nim, bardzo źle, ale ja temu zaradzę — pis no.“— Chciał dyktować receptę, lecz matka zmięszana nieśmiałym odzywa się głosem:

— Ale, panie konsyliarzu, wszakżeż to dziecię pięcioletnie; nie można je obwiniać o występki, które pan wyliczałeś.

Bez tracenia przytomności jasnowidzący nieco z gniewem odzywa się: — „A poco mi pani włosy na opad podałaś? jużci tak, co innego; wsyćko wiem“ — i zaczął na nowo wyliczać zatkane kanały, zburzone skrofuły i t. d., i podyktował receptę i wziął za nią trzyrublowy papierek i przyobiecał, że dziecko za dni 15 zdrowém będzie. [1])

Powyżéj opisany najbezczelniejszy szarlatanizm owczarka, w obec kilkudziesiąt osób jasno udowodniony, nie wstrzymał bynajmniéj ani konsyliarza ani łatwowiernych od dalszéj komedyi. Przeciwnie co raz więcéj tłoczyło się ludzi po najdziwaczniejsze recepty a odbieraniem pięcio-złotówek niezmordowany szar-

[1]) W kilka miesięcy dowiedziałem się, że to dziecko nazajutrz umarło.

latan ciągle bajał jak na mękach o jakimsiś bliżéj nie objaśnionym *fluxie*, o jakichsiś zaflegmionych kanałach, o zadawnionych skrofułach, o ukrytych kołtunach, o hemoroidach, o dreszczach, mdłościach, kurczach i o wrzodach na sercu, o motylicach wątroby, o stłuczeniu się za młodu! — co nadzwyczajne w chorych zbudzało podziwienie, że pan konsyliarz istotnie odgadł owo stłuczenie się za młodu, gdyż każdy przypomniał sobie, że mniéj więcéj uległ stłuczeniu się za młodu.

Jasnowidzący spostrzegając marsową postać cisnącego się ku niemu mężczyzny, ledwie okiem rzucił na jego rękę, z uśmiechem pewności wyrzekł:

— Lecyli, lecyli i nie pomogli, bo nie wiedzieli, zkąd choroba. — Cy pan nie służył wojskowo?

— Służyłem, — odrzekł były kapitan od ułanów.

— No i cos — *nie zleciał* pan z konia na prawy bok?...

Kapitan aż pobladł z zadziwienia i dał *słowo honoru*, że istotnie spadł z konia i — przypomniał sobie, że rzeczywiście na prawy bok upadł...

— A widzi pon! to od tego czasu wątroba

Były kapitan.

choruje i bywa dresc i w krzyżu bolenie i sum w głowie.

Tseba wziąść mrowiska z pod hojaka, co rośnie gałęziami do góry, i z prątkami od złotéj wierzbiny gotować sześć godzin pod spontem, w tém się kąpać trzy razy dniem, a co kwadrans pić po kielisku mléka z kozłowym tłuszczem; mozna takze bibułę smarować tłustością od kozła i przykładać na prawy bok na noc; tylko tseba, zeby kozioł był młody rocniak, bo jak stary to nic nie pomoze.

— I długo to robić?

— Za 19 dni będzies pan zdrów jak ryba.

Twarz kapitana zajaśniała radością, uścisnął rękę jasnowidzącego owczarza i wsunął mu złp. 40.

Za prawdę, trudno powtórzyć wszystkie brednie, które owczarek swoim pacyentom objawił, a jeszcze trudniéj wyliczyć te wszystkie najdziwaczniejsze i najpotworniejsze mięszaniny, które pod szpontem gotować i po kieliszku pijać rozkazał, a owe *kataflazma* (kataplazma), kąpiele i maści, do których składu i mleko od jałowéj krowy i ogony od czarnych kotów i mesiki brzozowe i jałowiec i czarnuszkę i wrzosy i zioła, pod płotem rosnące, i wino węgierskie i żywokost i kije grabowe i barwinek i ług z popiołu od modrzewiów i żywicę świerkową i stręczyny z bobru

i korzenie przestęp i pieprz, gotowany w serwatce, i zioła, psiemi językami nazwane, — prażyć, tłuc w moździerzu, moczyć w okowicie, przesiewać przez sitko, jednoczyć, mięszać i na niekrochmalne *płatecki* smarować zalecał.

Słyszałem nie mniéj, jak młodéj mężatce odgadł jéj najskrytsze chęci, jak dzieci zapewniał o robakach, starców o braku sił żywotnich, jak kulawych przekonywał, że będą mieli proste nogi, ociemniałych, że przejrzą, głuchoniemych, że odzyskają słuch i mowę, zgoła każdego chorobę odgadł i każdemu bardzo rychłą pomoc z największą pewnością przyrzekał i zaręczał; — a jeżeli się kto ośmielił twierdzić, że na wymienioną przez niego chorobę nie cierpi, wówczas zuchwałego niedowiarka karcił słowami: „Głupstwo! powiadam, że głupstwo! abo wy wiecie, co wam brakuje; ja psecie widzę, ze mata wrzody na wątrobie, że wam mlec paciezowy psysycha, że wam kołtun lizie do bzucha i t. p.“

Jasnowidzący owczarek, który dawniéj trudnił się jedynie zażegnywaniem chorób a dzisiaj czyta z ręki cały zwierzęcy układ człowieka, umie nadto i przyszłość wywróżyć; i tak na uczyniony mu zarzut, że umarli ci ludzie, którym przyrzekł ozdrowienie za dni 15, odpowiedział:

— Jo tego nie mógł powiedzieć, zeby oni

psy zyciu zostali, bo w wasem mieście umze jesce w tym roku tsydzieści osób młodych i seść starych, a i mnie dziki, wściekły zwierz pogryzie!

Znużony całodziennem jasnowidzeniem na jawie, już miał owczarek-lekarz swoję klinikę na dzień następny odłożyć, gdy zbliżył się do niego mężczyzna bardzo wysoki i nad wszelką miarę otyły.

— Panie konsyliarzu! czy nie byłbyś łaskaw przepisać mi jakiego lekarstwa przeciw zbytniéj mojéj otyłości, która przechodzi niemal w kalectwo.

— Nie wielkie rzecy; ale muse obacyć, z cego to pochodzi.

Tłuścioch podał swoję ogromną rękę, jasnowidzący popatrzał się chwilkę i zawyrokował:

— To nie żadne żarty! *serdce* może się zalać tłustością i będzie śmierć...

Tłuścioch pobladł i oczy na owczarka wytrzeszczył:

— Tseba robić, co ja kaze: naprzód będzie mi się pan kąpał regularnie trzy razy na dzień w gorącym wywarze, tak zeby pod pachy było wywaru, i to, jak mozna, nagoręcy wytrzymać; z rana zaś, na południe i na noc zaraz po kąpieli uzywać, co ja tu psepise:

Wiąść garść mięty, garść skrobanego rogu od

jelenia; trzy garści bzowego kwiatu, garść kukurydzy i gotować to wszystko w sześciu kwartach wody, tylko nie kwardéj, pses godzin dwie pod spontem, a jak się ostudzi, psecedzić i pić po kieliszku i używać tego pses 21 dni, potém obłozyć zywot *plozderkami* (plasterkami) z pscelnéj maści, a będzies mi pan dziękował.

Jasnowidzący skończył; na tłuściocha zimny pot wystąpił, zaczął drżyć jakby we febrze, szczęknął zębami, nagle chwycił się za swój brzuch ogromny i szybko wybiegł z pokoju. Rozumiejąc, że zasłabł, pospieszyłem za nim, a gdym go dogonił, stał już oparty o bryczkę i pot z czoła ocierał.

— Cóż się to panu dobrodziejowi stało?

— A łaskawy panie! ten owczarz to jest niegodziwiec, jakiego jeszcze świat nie widział; pięknego wypłatał-by mi figla! ażeby on hultaj sto lat w piekle gorzał! dobrze, że mnie paraliż ze strachu nie zaraził.

— Nie pojmuję, w czém on panu dobrodziejowi zawinił i nie rozumem, dlaczego się pan dobrodziéj tak bardzo przestraszył.

— Ale ja pojmuję i rozumiem. Macieju daléj, daléj, kiełznaj konie, — jeżeli Boga kochasz spiesz się!

Domawiając tych wyrazów, tłuścioch w gra-

A niech cię siarczyste pioruny zatrzasną z twojem lekarstwem.

molił się na półtoracznią bryczkę i zaczął na nowo jasnowidzącemu złorzeczyć: „A niech cię siarczyste pioruny zatrzasną z twojém lekarstwem! A kto wie, może to jaki czarownik i dopiéroby mnie wystrychnął.“

— Najszanowniejszy Dobrodzieju! przez litość powiedz mi o co ci idzie?...

— A o cóż mi ma chodzić? Właśnie mi o to idzie, żeby nie chodziło.

Krótko panu powiem:

W przeszłym roku moja rodzona siostra, słysząc bardzo wiele od swoich przyjaciółek o cudownym owczarzu, pojechała do niego w Sandomierskie, bo on wtenczas tutaj nie mieszkał; — otóż tak samo jak i jéj przyjaciołkom odgadł co do joty, na co choruje, dlaczego choruje, kiedy zachorowała, zgoła wszystko jéj wypowiedział i przepisał jéj różne lekarstwa; — a że będąc już od pięciu lat mężatką, była jeszcze bezdzietną, więc go prosiła, aby jéj także zapisał jakie lekarstwo ku temu, iżby mogła zostać matką. — Cóż pan na to powie? tamto lekarstwo na inne choroby nie pomogło, ale to drugie pomogło najwyraźniéj, bo 9 miesięcy po powrocie powiła bliźnięta. Czy pan dasz temu wiarę? Niegodziwiec, chcąc zapewne jako czarownik żart ze mną zrobić, podyktował dla mnie słowo w słowo to samo

lekarstwo, któremu moja siostra bliźnięta zawdzięcza.

— Ależ czyż pan możesz na chwilę przypuścić, żeby siostra pana skutkiem lekarstwa tego szarlatana matką została?...

— Cóż mnie pan gadasz! przecież ja to dziecię do chrztu podawałem.

— To był przypadek, że po powrocie...

— Dziękuję za taki przypadek! A kto mi może zaręczyć, że przez swoje czary mojéj męzkiéj natury nie zmieni na naturę kobiécą?

— Co się téż panu marzy po głowie!

— Marzy czy nie marzy, niech go diabli porwą z jego żartami! — Maciéj ruszaj.

Zaciął Maciéj trójkę chudych koników, półtoracznia bryka z tłuściochem potoczyła się ku Lublinowi, a ja długo śmiałem się serdecznie, rozważając komiczny przestrach tłuściocha.

Gdym powrócił do zajezdnego domu, już jasnowidzący owczarek znajdował się w alkierzu gospodarskim i, pijąc herbatkę z arakiem, 600 złp., w tym dniu zebrane, z jednéj kieszeni do drugiéj przeliczał.

Na widok tak znacznéj korzyści, odniesionéj przez owczarka, serce moje gwałtownym gniewem zawrzało, bo jednocześnie stanął mi na myśli niedostatek wielu lekarzy, którzy całą mło-

dość, lat kilkanaście krwawéj poświęcili pracy, którzy tysiące nocy spędzili bezsenne nad księgami spostrzeżeń i doświadczeń, objawionych przez osiwiałych weteranów wielkiéj nauki lekarskiéj, którzy z wyniszczeniem rodzicielskiego majątku zwiedzili szpitale główniejszych miast Europy, którzy na zbadanie i poznanie epidemicznych chorób narażali zdrowie i życie swoje.

Trudno, zaprawdę, wyraźniejsze znaleźć świadectwo nierozmyślnéj łatwowierności, jak jest udawanie się po pomoc lekarską do tak nazwanych owczarzy, do bab zażegnujących i do tych wszystkich osób, które bez poprzedniéj nauki wyrokują o chorobach ciała naszego. Powie mi kto, że jest jasnowidzenie na jawie, którém Bóg obdarza ludzi, przez siebie wybranych.

Więc podług tego twierdzenia Bóg mądrości, Bóg sprawiedliwy! miałby sobie obrać przewrotną nieudolność owczarka za narzędzie do objawu cudów, do niesienia ulgi cierpiącéj ludzkości; pominąłby tych, którzy tę ludzkość umiłowali, którzy się poświęcili dla ludzkości, którzy codziennie zagrożeni są zarażeniem się najzjadliwszemi chorobami, którzy zawód poświęcenia się, zawód lekarski na całe życie obrali! Więc Bóg ma usiłowania na drodze rozumu odpychać a niedołężne głupstwo wspierać i błogosławić?... Gdzież

jest w takiém twierdzeniu zabobonu i ciemnoty chociażby cień uszanowania religii i pojęcia Boskiéj sprawiedliwości?

Więc istotna cząstka Boga, nasz rozum, jest nam nie potrzebny; więc praca w nauce jest zbyteczną; więc doświadczenie z lat tysiąca najcnotliwszych mężów niknie przed jasnowidzeniem owczarka i jemu podobnych szarlatanów.

Istotnie, nie podobna więcéj bluźnić jak utrzymując i wierząc, że ten szarlatan jest jasnowidzącym na jawie. Przypadki, że szarlatani w ogólnych; albo téż nawet w szczegółowych opowieściach słabości spotkają się z mylną wyobraźnią chorego, zdarzenia, naprowadzone podstępem i przebiegłością przewrotnego człowieka, ku czemu częstokroć i pieniędzy nie szczędzi, do czego niedocieczonéj zmowy i niecnych a nieznanych fortelów używa, — zgoła wszystkie najwięcéj łudzące pozory o rzeczywistości jasnowidzenia na chwilę nie znajdą wiary w umyśle rozumnego człowieka ani téż w sercu, które prawdziwą czcią Boga oddycha.

Ludzie, którzy pomijając uczonych ciągle swoję umiejętność doskonalących i cnotliwych lekarzy, biegną do pokątnych oszustów, mianowicie téż do tak nazwanych owczarzy, słusznie owcami nazwani być winni.

Głupstwo zbyt często łączy się z uporem; nie wątpię, że moje wyrazy prawdy w zarysie słabéj ramotki nie starczą do nawrócenia zwolenników zabobonu, niemniéj przeto czuję rozkosz, żem nową znalazł sposobność objawienia publicznéj wzgardy dla służalców ciemnoty, która we wszystkich rodzajach, we wszystkich kierunkach i na każdéj drodze obnażaną być winna.

Gdym powyższą ramotkę jednemu z moich znajomych przeczytał, prosił mnie, abym dodał i jego źródłową o jasnowidzącym owczarku wiadomość,—którą téż dosłownie jak najchętniéj wypisuję wraz z powiastką o Augustynku.

— „Ów sekretarz owczarza, o którym wspomniałeś, że do Garwolina przejeżdżał, jest mi bardzo dobrze znany; i on to a nie kto inny namówił i ośmielił go do jasnowidzenia na jawie.— Rzecz się tak ma:

Gdy sławny Kwiatkowski umarł pod Kampinosem, dla łatwowiernych czuć się dawał brak nowego szarlatana; prowentowy więc pisarz u mojego krewnego w Opoczyńskiém, garbate ladaco, wierutny nygus a przytém marmurek, wpadł na

koncept, iżby sąsiedniego owczarka, trudniącego się fuszerskiém naprawianiem i bluźnierczém zażegnywaniem rąk i nóg, do obszerniejszéj szarlataneryi nakłonić i w tym celu począł go przekonywać, że nie powinien się ograniczać na żywokoście i na opatrywaniu rąk i nóg, ale że może korzystać ze śmierci Kwiatkowskiego i swoję praktykę chirurgii leczeniem *wszelkich* chorób powiększyć.

Stanęła zatém pomiędzy oszustami ugoda o wspólny zysk i odtąd owczarek zaczął choroby ludzkie z wody, z włosów a nawet i z odzieży poznawać i ziołami leczyć; garbusek zaś z początku najętą furmanką, następnie własnym już konikiem, a późniéj porządną parokonną bryczką jeździł po jarmarkach i rozpowiadał, że wraca od owczarza, który go z ciężkiéj niemocy cudem uleczył. Jak też kilka kobiét usłyszało, że jest cudowny owcarz nowy,—parowym wozem nie dognałbyś, dobrodzieju, biegnącéj na cały świat wieści o cudach owcarza. Ze wszystkich stron biegli łatwowierni na wyścigi; a wszakżeż obecnie aż z Litwy, Wołynia i Ukrainy przyjeżdżają chorzy i takich ramotek, jak twoja, możnaby tysiące o jawném oszukaństwie owczarka napisać. Dzisiaj on i jego sekretarz mają najmniéj po 20,000 złp. w gotowiznie.

Powiem też panu dobrodziejowi przy téj sposobności, co mi się zdarzyło słyszyć o owym sławnym Augustynku, który przed 20 laty także był cudownym lekarzem.

Mój młodszy brat, urzędując w Kaliszu, dostał zwyczajnéj febry, a że zawsze za rychło po wyleczeniu się jadał owoc i pijał mleko, więc mu się owa febra przez trzy lata ustawicznie wracała i nakoniec tak się stała uporczywą, że tamtejsi doktorzy przepowiadali mu febrę trawiącą.

Cóż się dzieje:—chłopiec w mylném przekonaniu, że nie on ale lekarze są winni jego długiéj a w końcu niebezpiecznéj febrze, porzucił doktorów i udał się do Augustynka.

Gdy przyjechał na miejsce, Augustynek był w kościele na mszy; mój brat więc z nudów chodził z kąta w kąt i słysząc, że ktoś na górze rznie sieczkę, wlazł po drabinie i zobaczył, jak jeden parobek zwyczajną trawę, z koniczyną i z najpowszechniejszemi ziołami zmieszaną, widłami przetrząsał, a drugi tę trzęsionkę rznął na sieczkę i w papierowe kładł torebki.

Spostrzegłszy jego obecność parobcy, zmusili go do natychmiastowego odwrotu. Znudzony długiém jeszcze oczekiwaniem, idzie na wieś, gdzie mnóstwo ludzi czekało na Augustynka, i tu ude-

rzył go łajdacki wzrok jakiegoś obszarpańca, który opowiadał, że go Augustynek z wielkiéj niemocy uleczył, na co przysłuchująca się służąca dziewczyna odrzekła:

— Ciekawam, czy téż mojéj pani pomoże, bo już trzeci rok minął, jak do doktorów jeździmy, a co się polepszy, to znów gorzéj.

— I na cóż to choruje pani starościna?... od niechcenia zapytał obszarpaniec.

— Zwyczajnie miała kołtuna a potém zaziębiła się po połogu, i jak mówili doktorzy, że pokarm wszedł jéj w obie ręce; potém zrobił jéj się wielki ból na prawym boku, a teraz ma takie *bule* na nogach, że wcale chodzić nie może.

Zaledwie dziewczyna opowiadanie skończyła, ukazał się Augustynek, z kościoła wracający, a za nim kilkudziesiąt chorych. Gdy przyszedł do izby, ofuknął się na panie i na panów, mówiąc, aby się nie cisnęli, bo on musi pierwéj biednym chłopom poradzić, którzy nie mają o czém czekać;— jakoż zaczął biedniejszym lekarstwa rozdawać. Dopiéro nad wieczorem przyszła koléj na szlachtę;—przez wzgląd na znaczną słabość pani starościny pozwolono jéj najpierwéj przystąpić do Augustynka. I jakżeż wielkiém było zadziwienie mojego brata, gdy usłyszał z ust jego *słowo w sło-*

wo to samo, co dziewczyna służąca mówiła do obszarpańca; do reszty zaś stracił wiarę, gdy Augustynek dał i dla niego tykę z takiemi samemi ziołami do picia, jakie poprzednio dał starościnie do kąpieli.

Tacy to są ci wszyscy cudowni owczarze."

NAJDROŻSZA NA CAŁĄ LITWĘ ŚMIETANKA.

NAJDROŻSZA NA CAŁĄ LITWĘ ŚMIETANKA.

Jeden z naszych umniczych i zaszczytnie znanych literatów przed kilkunasty laty naukową obarczony pracą obojętnym był na szczegóły gospodarcze, a jego służący wedle swéj woli potrzeb do życia nader skąpą i nierzetelną dostarczał mu miarą, pomimo że na miesięcznie podawanym rachunku tysiące umieszczał, to jest: kradł pana na urząd.

— Ignasiu! żebyś téż był łaskaw lepszą do kawy dawać mi śmietankę!

— A zkądże jéj wezmę? Przecież jaśnie wielmożny pan wie, że w mieście mieszkamy;—gdybyśmy to własną mieć mogli krowę.

— Ileż krowa kosztuje?

— Za dojną potrzeba najmniéj 300 złp. zapłacić.

— Oto masz 300 złp., kupże więc krowę.

Ignaś wziął 300 złp. i nazajutrz nie krowę,

nie, jak zazwyczaj, mleka, ale kupił śmietanki za groszy polskich 3.

— A to wcale co innego!—Więc już mamy krowę?

— Kupiłem, jaśnie wielmożny panie, piękną, graniastą krówkę;—a jakie ma wymiona, a jakie rogi! Ludzie się dziwią, żem za 300 złp. tak śliczne dostał bydlątko!

— Gdzieżeś ją umieścił.

— Właśnie chciałem jaśnie wielmożnemu panu powiedzieć, że potrzeba nająć stajenkę, ale żądają 60 złp. rocznéj z góry zapłaty.

— Masz 60 złp. byle tylko miała wygodę.

— Proszę także pana o 20 złp. na furę siana. o złp. 6 na korczyk owsa i o złp. 9 na sieczkę i słomę do ściółki.

Szacowny literat, któren lubił kawę z dobrą śmietanką, żądane 35 złp. w najlepszéj wierze oddał hultajowi na żywienie krówki.

Po upływie dni kilku Ignaś żąda od swojego pana 6 złp. na 2 korce ziemniaków, złp. 8 na buraki, brukiew i rzepę.

— A do czegoż to, kochanku?

— Oto widzi jaśnie wielmożny pan, należy rozmaite warzywa gotować i sieczkę krowie polewać a wówczas 6 razy tyle da mleka.

— Dobrze, dobrze, Ignasiu! Wprawdzie ja tylko maleńki garnuszek potrzebuję...

— Tak; ale widzi jaśnie wielmożny pan, że kiedy krowa jada buraczki i rzepę, śmietanka o wiele bywa lepszą [1]).

— Zgoda! zgoda, mój Ignasiu! kup buraczków i rzepki i brukwi i czego tylko potrzeba.

I znów hultaj 14 złp. zadławił.

Niezadługo zażądał złp. 10 na pszenne otręby i na sól. Później upomniał się o zapłatę dla kobiety, krowę dojącéj, dla parobka, któren czyni oprząt; wyłudził następnie na grzebielec, na szczotki, na drabinkę, na nowy żłób, na łańcuszek, na kubełek do wody i na rozmaite nieprzeliczone sprzęty stajenne. Jedném słowem że nie było dnia, żeby krowa czegoś nie potrzebowała. Bezczelność Ignasia najwyższego doszła stopnia, gdy twierdził, że należy dla krowy na zimę kupić węgierski koc do okrywania. Literat dał i na koc złp. 30, nie licząc, że w niespełna miesiącu owa śmietanka już przeszło 500 złp. kosztuje.

Zdarzyło się, że ktoś z gości śmietankę pochwalił i zarazem krówkę zobaczyć pragnął. —

---

[1]) Rzecz się ma przeciwnie; podobno dla krów karm zwiększa bardzo znacznie ilość mleka ale nie dobroć śmietanki.

Ignaś zdrętwiał, ale się na prędce ocknął—i pobiegł po krówkę. Ciekawi stali u okna pół godziny;—Ignaś powraca z doniesieniem, że parobek, krówkę oprzątający, klucz od stajenki zagubił. Śmiałém kłamstwem hultaj z niebezpieczeństwa na on raz wypłynął;—ale przestraszony tym wypadkiem, zwłaszcza, że pan jego już poprzednio chęć poznania prześlicznéj krówki był zdradzał, postanowił złemu stanowczo zaradzić. Jakoż nazajutrz doniósł że krowa zachorowała. Przez 3 dni płacił oszukiwany literat dla weterynarza po złp. 5, do apteki na lekarstwa wydał także kilkanaście złp. a przecież nielitośna śmierć ubłagać się nie dała i krówka w skutek zapalenia śledziony z pośród żyjących bydlątek wymazaną została.

Każden z prostodusznych myśli, że się niecne hultaja obławy skończyły.—Otożnie!—Ignaś przy doniesieniu o tym, jak okazywał, najboleśniejszym dla niego wypadku, wśród rzewnego płaczu zażądał złp. 6 na najęcie woza do wywiezienia za miasto zaraźliwych zwłok nieboszczki; daléj złp. 4 dla mistrza za zdjęcie skóry, a dopiéro w końcu złp. 50 za przebudowanie stajenki, w któréj zaraźliwa choroba istniała.

— Pokaż mi przynajmniéj skórę,—rzekł osmucony literat, — wspomniałeś, że tak prześliczne miała odmiany; radbym ją malarzowi opisać, iżby

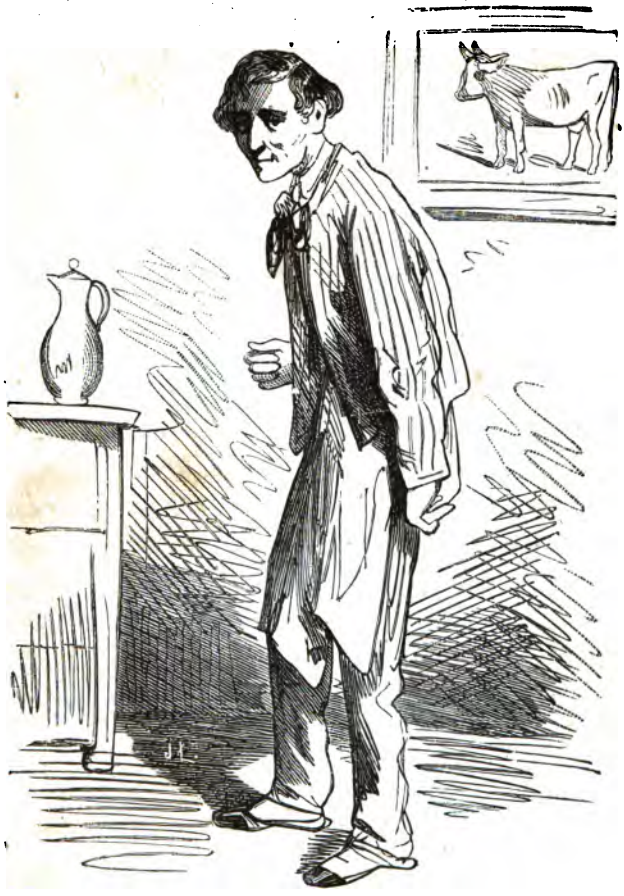

Jeżeli jw. pan pozwoli, opowiem malarzowi, jak ta krowa wyglądała.

mi w pięknym obrazie zrobił pamiątkę, żem był właścicielem krówki,—rozumiesz mnie, Ignasiu!

— Rozumiem, jaśnie panie! ale ja tę skórę powiesiłem na płocie, żeby przeschła, i proszę jaśnie wielmożnego pana, już wyraźnie jakieś z tą krową nieszczęście, bo całą skórę psy pana marszałka w drobne kawałeczki rozerwały i pożarły a nawet i rogi skradziono;—lecz jeżeli jw. pan pozwoli, opowiem malarzowi, jak ta krowa wyglądała.

W kilka tygodni potém graniasta krówka, olejną farbą na płótnie odmalowana, przypominała łatwowiernemu literatowi, że przez niespełna miesiąc kawę z dobrą pijał śmietanką.

Dopiéro w rok późniéj szanowny literat doszedł przypadkiem, że ona krówka nigdy na świecie nie żyła, „Ot rozumie pan, tak nas uczonych głupcy oszukują.“ Te wyrazy i dzisiaj z ust uśmiechającego się literata usłyszyć można. Ignaś się wówczas wstydzi, ale jeszcze nie postradał służby u prawdziwie chrześciańskiéj dobroci pana.

Z ŻYCIA MOJEGO DZIADKA.

ZDARZENIE W 3/4 CZĘŚCIACH PRAWDZIWE.

Z ŻYCIA MOJEGO DZIADKA.

ZDARZENIE W ¾ CZĘŚCIACH PRAWDZIWE.

Ś. p. dziadek mój był to człowiek poczciwy, pobożny, rzetelny w słowie, gospodarny, czuły na nieszczęście i nędzę bliźniego, szczerze gościnny, i na innych cnotach nie zbywało mu bynajmniéj. W palestrze poznańskiéj przećwiczył się w prawnictwie, na sejmikach nabył wymowy, w potrzebach zaś krajowych — anno millesimo — już nie pomnę — dostał po za lewe ucho tak serdeczną krysę, że tylko skutecznej maści węgierskiéj winien był ocalenie honorowego członka — ucha; — lecz nie ma tego złego, coby na dobre nie wyszło. Kiedy się zaczęły upowszechniać termometry i barometry i panowie nasi, każdéj nowości chciwi, kupowali takowe, rzekł pewnego razu dziadzio napierającemu się z towarem Niemcowi: „O daj mi tam, mucu, pokój z twojemi szkiełkami; już ja pono lepiéj wiem od

ciebie o zmianie powietrza.“ — Bo też istotnie zwykł dziadek mawiać: „Tatar mnie swędzi, Tatar mnie łupie, Tatar mi dokucza“ — pomacał się za lewe ucho i był, jakby zapisał, deszcz odwilż, mróz, lub jak z kolei wypadło. — Wzrost dziadunia nie odznaczał się szczególniejszą wyniosłością, przeciwnie do rzędu krępych, co się nazywa, do barczystych ludzi należał; nosił na święto kontusz granatowy i ceglastego koloru żupan, na powszedni dzień papuzią kapotę, zażywał tabakę i miał przysłowie: „*Owo tedy barania głowa z pieprzem i z imbierem, mości dobrodzieju.*“ Nie wiem dlaczego z pieprzem i z imbierem, bo uważałem, że ją najczęściéj z chrzanem jadał. Ale pominąwszy i inne drobnostki, powiem raczéj, że, gdy mnie ojciec mój do niego zasłał, miał już szanowny dziadek 80 lat z górą.

Skłoniwszy mu się przyzwoicie, ucałowałem rękę i list oddałem. Bez okularów pismo odczytał, otarł zwilżone oczy, wejrzał na mnie łaskawie a następnie drżącemi usty czoła się mojego dotknął.

— Pan Franciszek przysyła mi waścia do pomocy w moich kłopotach.

— Szczęśliwym się nazwę..... jeżeli będę mógł dziadzi dobrodziejowi być użytecznym.....

— Cóż to „nazwę?“ A przecież waści już się

Owo tedy barania głowa z pieprzem i z imbierem, mości dobrodzieju.

nazywasz, boć ślubnego małżeństwa synem jesteś a prawnym wnukiem moim! Owo tedy *barania głowa z pieprzem i z imbierem, mości dobrodzieju!*

Tak mnie tym argumentem i swojém przysłowiem zmięszał, że ułożonéj przez drogę przemowy zapomniałem i stanąłem istotnie jak gdyby z baranią głową, bo i słowa odpowiedzieć nie zdolny.

— Dobry znak, że waść śmiałkiem na gębę nie jesteś. Marynusia, matka twoja, zdrowa?

— Właśnie mam polecenie ucałować.....

— Dobrze, dobrze, mój wnuku; pisze mi pan Franciszek, że waść napróżno kaszy nie jadał i że *owo tedy barania głowa z pieprzem i z imbierem* Łacinnik z aspana; — zobaczemy, mości dobrodzieju.

Nazajutrz już od 5 rano odpisywałem granicznik zeznania świadków i układ z XX. Cystersami z r. 1684 o sporne pastwisko ponad rzeką *(fluvium)* Nosek, począwszy od dwóch kamieni, wyżéj gruszki położonych, idąc na lewo przez Jędrzejów połanek tuż ponad płotem Tadeusza aż do studni Jana Kaspra Bzdręgi, organisty z Kobyléj-Woli. — Miał to być naturalny spadek granic.

— A cóż, zrozumiał waść?

— Gdybym zobaczył rzekę Nosek, dwa kamienie, gruszkę, Jędrzejów połanek, płot Tadeusza i studnią Kaspra Bzdręgi, możebym i zrozumiał.

— Owo tedy *barania głowa z pieprzem i z imbierem* po cóż tu oglądać, kiedy dokument jasny jak słońce, mości dobrodzieju.

Istotnie dziaduniu dobrodzieju, że dokument jest dobry, ale nie zaszkodziłoby, abym się na miejscu przekonał.

— Kubek w kubek gada, jak te Niemcy; — owo tedy *barania głowa z pieprzem i z imbierem*, mości dobrodzieju, napij się waść gdańskiéj wódeczki, bo trochę mokra będzie przechadzka; na czczo mogłoby zaszkodzić: a kiedy waści życzysz sobie obejrzeć *locum quaestionis*, to i pójdziemy;— podoba mi się, że waści z gruntu rzeczy bierzesz.

Któż opisze moje podziwienie, gdy poczciwy dziadek zamiast wskazania rzeki Noska, kamieni, gruszki, płota i studni, oprowadziwszy mnie przez góry i wąwozy pół milowym lasem, od stu lat ręką ludzką nie tkniętym, ominąwszy jezioro, 20 włók ziemi ornéj, tyleż łąk i pastwisk, powiódł laską w powietrze od lewéj na prawą i rzekł: — Ot! dotąd jest nasze.

— Czyje, dziaduniu?....

— Najprzód Boskie, potem moje, a po mojéj

śmierci ojca waścinego, a po jego najdłuższém życiu.....

— Ale przepraszam dziadzię dobrodzieja, gdzie tedy owe znaki graniczne? — Nadto w dokumencie mowa tylko o sześciu włókach, a myśmy podobno zajęli 60 z okładem.

— Ot także uczyli aspana! kiéj tam licho i czego, mości dobrodzieju! *owo tedy barania głowa.* — A toć-że asanu powiedziałem, że łacniéj wynaleźć naciosy i kopce, kiedy się *kontrowers* w przyzwoitym zakresie oznaczy.

Na samém dokończeniu przedobiedniéj modlitewki, którą dziadek z wzniesionemi w górę oczami odmawiał, wbiegł zadyszony Jacek, strzelec leśny, i zanim jakoby miech kowalski nadymająca się gęba Jackowa dowód różnicy zwierząt od ludzi złożyć była zdolna, — już dziadek mój powrócił z alkowy z serpentyną u boku i z charapnikiem w ręku.

— Mateusz! kasztankę! — Wołać mi Ponikwę! Janie! żywo po gromadę. — Dworscy na koń! — Dla pana Augusta okulbaczyć gniadego! — Żywo! żywo! Przez ukrzyżowanego Chry-

stusa Pana te chołysze zjeść mi spokojnie nie dadzą..... Waść stoisz jak słup! Bierz gwintówkę a i kawał żeleźca nie zaszkodzi.

— Cóż to znaczy, dziaduniu?

— A patrzaj go! — *Owo tedy barania głowa z pieprzem i z imbierem* chciałem powiedzieć mości dobrodzieju! pytać się „Co to znaczy..“ A toćże to te szambelańskie pogany mój własny las rąbią, którego, Bóg widzi, ochraniam jakby na lekarstwo.

— Przy pokutnem od wielkiego żalu [1]) już dwadzieścia hoic ucięli, a jest ich tam z siekierami jakby mrówia i pan szambelan z synem przyglądają się — wyjąkał Jacek.

„*Pod Twoją obronę*“ wymówił dziadzio, gdyśmy z dziedzińca ruszyli. Było nas w 13 koni; piechota pod przywództwem ekonoma Ponikwy z widłami, z siekierami i z różném ręczném narzędziem gnała na przełaj do drogi od Smolęcina, dóbr pana szambelana.

— Tu tędy — *owo tedy barania głowa* płynęła, mości dobrodzieju, *z pieprzem i z imbierem* rzeka Nosek, — wyrzekł dziadzio, mijając są-

---

[1]) Żalami nazywają ludzie wiejscy dawne aryańskie cmentarze; jest to zazwyczaj pagórek z sterczącemi kamieniami, pod któremi zawsze urny z popiołem i inne pamiątki znaleźć można.

żnistym kasztanki kłusem jakiś maleńki strumyczek.

Pod *Jelenią górą* osadził dziadek kasztankę na tylnych, ja ledwo żem się przez kark gniadego nie zwalił; — szczęściem koń miał mocną grzywę.

— Także owo tedy uczyli waści wierzchem jeździć! A przecież to pan Franciszek, ojciec twój, 30 lat służył wojskowo, — a Odrowęże w piechocie nie bywali, mości dobrodzieju. — Trza zaczekać, aż Ponikwa się ozwie.

Nie upłynęło i pięciu pacierzy, bo i konie jeszcze nozdrzami gęstą ciskały parę, na zachodzie padł strzał daleki, po chwili i drugi.

Cieniem stuletnich dębów ponure brzegi jeziora przyjęły odgłos wystrzałów, gdy i mój dziadek z krucicy wypalił. — „Kto mi tegó psu-brata uchwyci, dam mu łaskawy chleb do śmierci!“ zawołał dziadzio i mgnieniu oka wpadliśmy z poza góry na szambelańskie zastępy.

Dubium belli eventus — możeby nam się było i po skórze dostało, bo szambelańskich na stu starczyło; — ale gdy panu szambelanowi siarka tuż pod nosem małym przesunęła się obłoczkiem, ledwie zdążył wymówić „*Josépche! prenez garde*, ta poczwara strzela do ludzi“ spiął srebrną ostrogą anglizowanego i wraz z panem Józefem na wyścigi pierzchnęli.

Trzydzieści wozów z zaprzęgiem, *alterum tantum* siekier, czapek i suknam, uwieńczyło zwycięztwo; a gdy Ponikwa z piechotą nadciągnął, już pole bitwy z nieprzyjaciół oczyszczoném było.

— Czy go waści mocno obłożył?

— Będzie pamiętał, dziaduniu; ale bo téż to jędrna nahajka a pan szambelanic w nankinowém był odzieniu....

— Zląkł on się i mojego prochu — a Bóg świadkiem ołowiu nie było.

Właśnie zabieraliśmy się do powrotu, gdy z pośród gęstwiny lasu wynurzył się Jacek. Wszyscy obecni, nie wyjmując i dziadzi, przelękliśmy się istotnie na widok Jacka. Gęba rozwarta, usta zsiniałe, lica jakoby z kredy, włos najeżony, oczy kołem biegały, nieruchomy język bez najmniejszéj władzy na dolnych spoczywał zębach, nogi się pod nim trzęsły, — wreszcie upadł na kolana przed dziadzią i okropnie westchnął.

— Jacku! cóż ci się stało?.... Gadajżeż, Jacuniu! A przecież ja wiem, żeś ty człek uczciwy i dbały o dobro moje sługa. — Coś go nastraszyło.... może mu się bies pokazał.... Jacusiu, przeżegnaj się....

— Wielmożny panie! — Wielmożny panie! Boże mnie sądź — ja nie winien.

— Cóżeś takiego zrobił?

Z pośród gęstwiny lasu wynurzył się Jacek.

— Wielmożny panie! anim go dotknął, anim go ruszył, chyba że go Bóg żywie ukarał za to, iż cudzego zapragnął.

— Jacusiu! *owo tedy barania głowa z pieprzem i z imbierem*, — tylko się nie lękaj! Kogo to Pan Bóg ukarał?

— A juzeć wej sombelana.

— Toćmy wiemy, że uciekł; i cóżby mu się więcéj złego zrobiło?

— Prawda, wielmożny panie, że on zawsze nasze granice nachodził, ale żeby go tak rychle Bóg skarał, tego ja się nie spodział.

— *Owo tedy barania głowa* — powiedz, Jacku, jak go to pan Bóg skarał?....

— Wielmożny panie — proszę jegomości, jak my z panem okonomem zabieżeli od smolęckiéj drogi, posłał mnie oto pan Ponikwa, abyśwa z Grzelą i ze Stachem od wąchockiego dołu hałas robili, — bo chocia tam i w drzewinie przyciasno, ale na wąchocki dół najbliżéj mi było uciekać. Jeszcześmy do *Jeżowego dęba* nie zbieżeli, już pan Ponikwa z fuzyi wygarnął, a że wielmożny pan ozwał się pod Jelenią górą — także my tedy poczęli wedle rozkazu pana okonoma krzykać — „*Trzymaj, chwytaj, nie puszczaj*“ — i szliśwa naprzód ku Jeleniéj górze; — w tém — Boże odpuść — sombelan ze synem, co koń mógł wy-

skoczyć, gnali przez wycinki; jakże ja ich ujrzał, krzyknąłem w pełne gardło: „Hu! ha! trzymaj!“ bom miarkował, że to już kuso ze sombelańskiemi; — a on stary jak skręci konia w bok, jak się o sosnę dmuchnie, myśleliśwa, że chyba się o nią spłaszczy. — Ale nie taką mu Bóg śmierć naznaczył, tylko się za krzyż pomacał i nuże daléj uciekać. — Myśwa też znowu krzyknęli: „*Nie daj! — łapaj!*“ — on jak ślepy Mazur nie patrząc przed się, naprzód szorował, aż się koń pienił, a syn tuż za nim. — Grzela chciał mu zabiedz od wąchockiego dołu, w tém wielki Boże! — sombelan wpadł pod jodłową gałęź — i wéj, tak jakby nożem skrajała mu się głowa.

— „*In Nomine Patris*“ — zawołał dziadzio — „O la Boga!“ — wrzasnęli chłopi.

— I gdzież! gdzie leży? — spytał się i pobladł dziadzio.

— Głowa leży przy wąchockim dole — a on pojechał kiejby jaki upiór do Smolęcina, jeno mu się syja świeciła a krew strumieniem żygała!...

— Pewno trupa koń w pędzie uniósł, wyrzekł, żegnając się, dziadzio. — Prowadź nas, prowadź na to miejsce.

Po drodze dziadunio często wzdychał i pacierze odmawiał; — jam milczał, dziatwa pomiędzy sobą szeptała. — Za grędzińską strugą napotka-

Rozczochrana ryża peruka! leżała przed Jackiem.

liśmy osmuconych Grzelę i Stacha. — Zgodnie co do słowa powtórzyli to samo, co Jacek był wyznał.

Zimno się każdemu z nas zrobiło. Dochodząc do wąchockiego dołu, Jacek wyprzedził nas o kilkanaście kroków i pod wspaniałą jodłą uklęknął i przeżegnał się.

Z prawdziwém przerażeniem przystępuje dziadzio w to miejsce, gdzie głowa szambelana miała leżeć, — a za nim i my wszyscy posuwamy się.— Patrzymy, — aż tu rozczochrana, ryża peruka! leżała przed Jackiem.

Śmiech powszechny zastąpił miejsce przestrachu a że to był dzień pierwszego kwietnia, dziadzio rzekł z dobrocią: „*Owo tedy barania głowa* mimowolnie, mości dobrodzieju, zrobił nam *Prima-Aprilis.*

LIST PANA JERZEGO ŁYSINY

I ZNALEZIONE PRZEZ NIEGO PISANIE.

LIST PANA JERZEGO ŁYSINY
I ZNALEZIONE PRZEZ NIEGO PISANIE.

Wielmożny Mości Dobrodzieju!

Jadąc w zaprzeszłym tygodniu do Kozienic celem przyzwoitego opatrzenia się w napój czysty i tani, którym jednooki Johnas z własnego winobrania na Węgrzech świeżo piwnice swoje napełnił, dumałem sobie nad marnościami świata; bronowłoki leniwym szły krokiem, telega zwolna się tylko po głębokim posuwała piasku i już pod Majdany dojeżdżam, kiedy skwarne słońce, siekąc mnie z góry, jakoby makiem po oczach sypnęło, — zaczém w jednéj chwili wielowładny Morfeusz rozpostarł panowanie nademną czyli, wyrażając się bez pomocy bożków mitologicznych; sen ciało moje owładnął — a mówiąc zupełnie wyraźnie, usnąłem.

Zawsze w murach nad papierami ślęcząc, nie

wiész, zacny panie, jakim jest sen na wolném powietrzu, który matka natura dla najmilszych dzieci swoich, dla nas wieśniaków, przesyła. Spałem smaczno — wyśmienicie; gardłowy organek cudnym brzmiał głosem, wdzięczne marzenia czucie lube tworzyły i gdy tak, panie, śpię, mój stary Grzesio także się był zdrzymał.—Ponieważ zmordowane i tępe bydlęta przystanęły, nie wiem, jak długo w tym bezgrzesznym pozostawaliśmy stanie i dopiero ognisty huk z bicza nad uszami przebudził nas obydwóch.

Grzesio krzyknął: „Ratuj! — jam wrzasnął: „Haż go ha!“ śniło mi się bowiem, żem kusego w kotlinie upatrzył. Aż mi się w oczach zalśniło; szlachcic czwórką z miasteczka wyjeżdżał, gdzie spojrzysz złoto na zaprzęgach, na karocy, na kapeluszach, na kołnierzach, na biodrach, z przodu, z tyłu — wszędzie złoto-guzy z herbami i złoto. Mimowolnie uchyliłem czapki, bo któżby się tak bogatemu nie ukłonił panu!— Gapię się tedy i dziwuję, jak to u nas jeszcze tego złota kupa, gdy Grzesio trącił mnie w kolano i wskazał na zieloną torebkę, leżącą w kolei pojazdu, który nas co dopiero był minął.—Wołam za niemi: „Stój! stój!“ — ani się obejrzał—trudno sobie gardło rozedrzyć;—więc zaglądam do onéj torebki i znalazłem: — 1. Spis rocznéj pańszczy-

zny, powinności, darmochów i danin z dóbr Lichoty Wielkie. 2. Pomysł do zwiększenia dochodów propinacyjnych. 3. Obrachunki z starozakonnym kupcem Moselsztein i przedugodne warunki do sprzedaży zboża z roku, da Bóg doczekać, 1842. 4. Rozpieczętowany list do kochanego Kazimierza W. w Warszawie.

Spis rocznéj pańszczyzny zatrzymuję, gdyż mi jest potrzebny do objaśnienia się, albowiem dobra Lichoty Wielkie są wystawione na konieczną sprzedaż. Pomysł do zwiększania dochodów propinacyjnych, rzecz wielkiéj wagi, przedmiot czysto-rodowy, zachowam na właściwy użytek. Obrachunki z panem Moselsztein złożyłem panu burmistrzowi,—pisanie zaś Augusta do Kazimierza odsyłam WP. Dobrodziejowi; być może, że go w Ramotkach umieścić zechcesz.

Proszę przyjąć zapewnienie wysokiego poważania etc.

Jerzy Łysina.

Pisałem w Peruce d. 26 maja 1841 r.

P. S. Donoszę też Panu Dobrodziejowi, że mówią tu u nas na wsi, jakobyś Pan nadsyłane do pism czasowych artykuły z prowincyi niechętnie przyjmował. — Zrobiłem zakład, że to jest wieść fałszywa i że z pewnością, czy to w mie-

ście, czy w miasteczku, czy na wsi pisane byle uczciwie i celowi odpowiednie, a nie żadne brednie (nie przymierzając do listów moich) — iż tedy WP. Dobrodziéj nietylko że wydrukować każesz ale i wdzięcznym za to będziesz. Boć i śliczną zaiste jest rzeczą, kiedy wypoczęta, jędrna, ciągłém w aktach szperaniem niespleśniała wiejska głowa palnie coś od serca. Wszakżeż my to do tych samych szkół, co i panowie chodzili, bo nawet bywało dawniéj a i dzisiaj, chociaż nie tak często się zdarzy, że pisanie nasze jest pełne wdzięku i istotnéj mądrości, a jeżeliśmy mniéj zachowali wyrażeń pedagogicznych, więcéj natomiast pozostało uczucia i zdrowego rzeczy widzenia. Przy najskrzętniejszém zaś gospodarstwie na czasie wolnym do pisania nie zbywa.

Jerzy Łysina.

ZNALEZIONE PISANIE.

Kochany Kazimierzu!

Imieniem moich sąsiadów i współobywateli szczere składam podziękowanie za pochlebny sąd o naszéj okolicy, a że prawdę nad wszystko prze-

noszę, iżbyś nie rozumiał, że rzeczywiście popęd do nauk jest tutaj bezwyjątkowym, wedle życzenia Twojego przysyłam ci w skróceniu wierny obraz mojéj podróży, którą w posłudze literackiéj odbyłem.

Odebrawszy wezwanie wasze, nie długom rozmyślał i już nazajutrz ruszyłem. — Zły był początek. Pomimo że woźnica znaku krzyża świętego, przed końmi przy wsiadaniu zrobić nie zaniedbał, — w drugiéj zaraz wiosce, którą j. w. Honorowicz w dożywociu trzyma, na dziurawym moście mój ulubiony drążkowy deresz tak się niezręcznie zahaczył, iż mu z trudnością usłużne chłopki nogę wydźwignąć zdołali. Niezrażony przypadkiem a wierny powołaniu, jadę — przypomniałem sobie owego organistę, któren na dobre dzwonił kazanie; wtém Jędrzéj się ozwał:

— Wielmożny panie, nasz deresz napada.

— Czy bardzo?

— Niezgorzéj.

— Zajedź do dworu, obejrzymy. — Jakoż zajechaliśmy przed pochylony ganek domu j. w. Honorowicza.

Na turkot bryczki wybiegł do mnie w jasnozielonym fraku, w niebiesko-skrochmalonéj kamizelce, z grubém obwiązaniem szyi, w nankinach, z białą chustką w ręku, — jasno-włosy

modro-oki, greckiego nosa, tuszy i wzrostu w samo prawie, gospodarz domu, j. w. sędzia Honorowicz.

— „Witam, witam, niegrzecznego, niedobrego, niełaskawego na nas sąsiada!“

Na uprzejmy zarzut tłumaczę się, jak mogę, gdy usłużny a sążnisty drab w staréj liberyi płaszcz z ramion moich zerwać raczył.

Weszliśmy do pokoju, gdzie mnie na raz różno-rodne i sprzeczne uderzyły przedmioty; zastałem niemało osób, wśród nich na stole częścią przepołowionych, częścią nietkniętych jeszcze ośm wina węgierskiego butelek, obok leżały książki, kajety i gitara. Powstali na moje przywitanie obecni: jegomość ksiądz proboszcz; pani sędzina w ogromnym czepcu a tyle w kwiaty obfitującym, iżby sobie niemi małe cielątko podjadło; chudy podsędek z żoną i córką; pan Bębno, rosły i barczysty, na urząd zbudowany szlachcic. — jakżem się późniéj dowiedział, przybyły z Litwy wujaszek; — pan Porto, porucznik węgierskich huzarów, czupurny, z miną gęstą, z wykręconemi do góry wąsami, z pierwszego rzutu oka chwat i hulaka; pan Ponowa, burmistrz poblizkiego miasteczka, jak mi mówiono, człowiek niegdyś dobrze urodzony, niegdyś posiadacz pięknego mienia;—państwo Nierządkowscy, dziedzice dóbr

J. w. sędzia Honorowicz.

Gzymsy z miłą konsolacyą: z Narcyzem, Hyacyntym, Różą, Hortensyą i małym pieszczotkiem trzynastoletnim Cyprysiem i t. d.

W takiém gronie osób na środku stali synowie j. w. Honorowicza: Anzelm i Gracyan, wyrazu twarzy wcale niegenialnego, lecz włosy wedle ostatniéj mody po za wielkie uszy spadały. Czynili popis szkólny, przyczém wyrodziła się kwestya naukowa;— dlatego po przywitaniu wynurzył j. w. gospodarz nieskończoną radość, że przybyłem w taką właśnie porę, kiedy byłem najpotrzebniejszy! Młodzi Honorowicze twierdzili, że Cyrus, król Persów, zburzył Macedonią, Porto zaprzeczał, dowodząc, że Macedonia dopiero przez Anglików zbombardowaną była. Ksiądz proboszcz, który mógł bezwątpienia spór ten rozstrzygnąć, dysertacyi o poganach nie lubił i radził, aby do innego przeszli przedmiotu; — ale panna Hortensya, co z całego serca radaby zwycięztwo starszego z synów j. w. Honorowicza, pana Anzelma, a upadek pana Porto widzieć, nie dozwoliła rzeczy niedokończonéj opuścić; moje więc zjawienie się (a trzeba ci wiedzieć, mają mnie w całéj parafii za bardzo uczonego) uważając jako nader szczęśliwe, hurmem i obces żądali, abym ja sprawę tę rozsądził.— Miłosiernie spojrzał na mnie Porto. Nie wiem, zkąd mnie

pustota napadła, gdym się w następne odezwał słowa:

— „Żyjący pierwiastek ludów wschodnich tak odrębną nosi barwę w wypadkach wojennych, tak istotną naprowadza myśl samoistnéj wiedzy, tak gwałtownem jest połączeniem myśli i rzeczywistości w dzisiejszém pojmowaniu, iż trudno było współczesnym a niepodobieństwem jest dla następnych źródło prawdy wyczerpnąć. To przecież z podań ustnych w nieulegającą zamienia się pewność, że pod murami Macedonii znajdowały się i wojska Persów i morskie zastępy Anglików a raczéj Szkotów, którzy pod wodzą króla Roberta Bruce w pomoc Cyrusowi przybyli.“

— Bravo! bravo! — krzyknęli wszyscy,— to mi erudycya, to jest rzecz objaśnić.—Cieszyły się panny Nierządkowskie, cieszyła się mama, cieszył się i pan Porto, przypominając panu Bębno że Szkoci, *Erlandczycy* i Anglicy zawsze jednę stanowili *nacyą*.

Ksiądz proboszcz tylko jakąś chciał czynić oppozycyą co do równoczesności Roberta z Cyrusem, ale go burmistrz z panem Zawissowskim na wielkie moje szczęście zagadali, krzycząc co gardła, że ksiądz proboszcz zawsze się spiera chociażby o rzecz tak jasną jak słońce.

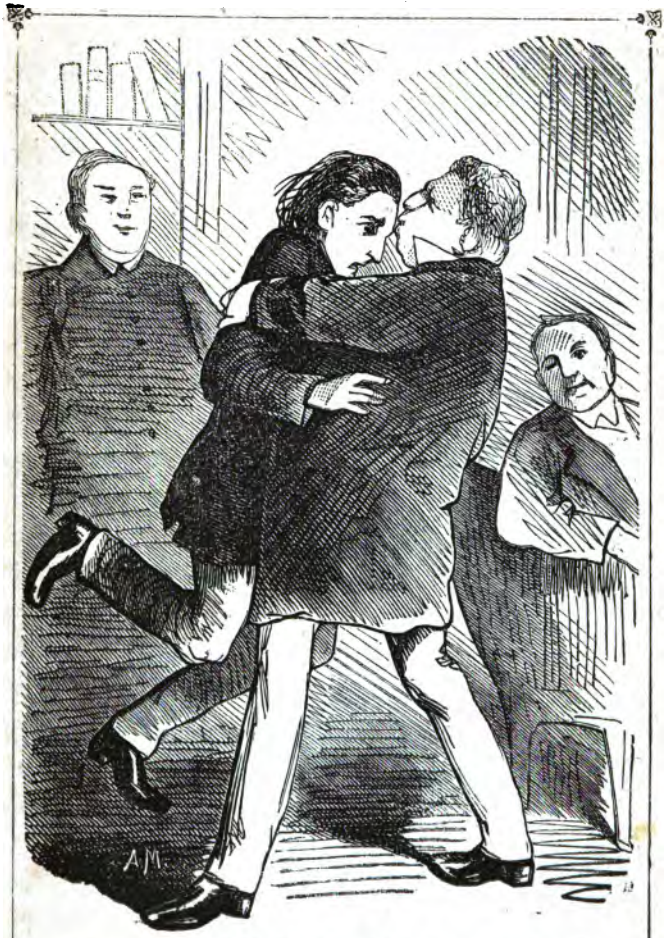

Wujaszek z Litwy ściskał Anzelma tak szczerze, że aż w niebogłosy krzyknął kawaler.

Zaczém też podano kielichy i egzamin byłby się skończył, gdyby nie płeć piękna, która grę na gitarze i śpiew pana Anzelma słyszéć pragnęła.

Zatrzymał więc w ręku j. w. Honorowicz potężny kielich a pan Anzelm, 17-to letni młodzieniec, zarzuciwszy niebieską wstęgę przez barki, stanął w smętnéj postawie i silne uderzył akordy;—odśpiewał najtkliwszym głosem: Żale Amelii, — znane Dumanie północne o księżycu,— z Wolnego Strzelca: „Przynosim ci mirtowy kwiat,"—i Porwanie królowéj z ciemnego lochu.

Chwil kilka jak już dźwięk struny ucho pieścić przestał, a nikt z obecnych ogólnego milczenia przerwać się nie ośmielił. — Jam pierwszy wyrzekł: „Ślicznie!" a ten tylko, co był świadkiem pożegnania się wędrującéj trupy aktorów, którzy do dwóch miast wezwani na dwie części się dzielą, może sobie wyobrazić hałas, wrzask, czułość, łzy i uniesienie, jakie po mojém „Ślicznie" nastąpiły.

JW. Honorowiczowie oboje i panna Hortensya płakali głośno jakoby na najsmutniejszym pogrzebie; — wujaszek z Litwy ściskał Anzelma tak szczerze, że aż w niebogłosy krzyknął kawaler; — dziwili się i inni i gwałtowne sypali pochwały; jeden znów tylko proboszcz treść śpie-

wów ganić się zdawał. Ale i tu burmistrz, pan Zawissowski, a tym razem już i pan Porto i pan Nierządkowski, zagłuszyli go wyrzutami mantyctwa. Czuły to był obraz rodzicielskiego— (tutaj stryjowskiego) — szczęścia; wspaniały widok przejętych chlubą młodzieńców z ukończonéj *edukacyi*, i rozrzewniającym udział, jaki sąsiednia przyjaźń tak dobitnie na jaw wykryła.

Wniesiono parę mchem obrosłych butelek i prędzéj przy budowaniu wieży Babilońskiéj mógłbyś był za słowo uchwycić, aniżeli wśród tak pamiętnie gwarzącéj tłuszczy przyjaciół.— Lecz niesie stare przysłowie: *est modus in rebus*;— wziąłem więc do ręki gitarę, pośpieszyły damy, najmiléj prosząc, bym grał i śpiewał. Jedne z tych bogiń pozostały przy mnie na straży, drugie rozbiegły się po sali do wyproszenia spokojności. — Któż kiedy sile kobiét oprzeć się zdoła? W jednéj chwili wszystko ucichło, wszystkich oczy nad roztwartemi ustami błyszczące na mnie się zwróciły;—korzystałem z téj ciszy niebawem, w następne odzywając się słowa:

„Wielce łaskawi sąsiedzi! skąpa przyroda nie obdarzyła mnie zdolnością muzyki, natomiast dała mi pewien pociąg do nauk. O potrzebie oświaty w tak zacném gronie przemawiać byłoby zbytecznem, ale zawiadomić was o nowych pra-

cach literackich miłym staje się dla mnie obowiązkiem. Jeden z moich dawnych szkólnych przyjaciół wykrył rękopism nader ważny, nie drukowany dotąd. Dzieło to dla historyi wielkie przyniesie korzyści, a dla literatury naszéj będzie niepoślednią ozdobą;— idzie jedynie o koszta druku. Przedpłatą dwóchset egzemplarzy wszystkiemu zadosyć się stanie. Zaszczycony zaufaniem odebrałem polecenie, abym w téj okolicy zbierał prenumeratorów; raczcie więc, panowie, oto na tym papierze (tu wyjąłem z zanadrza prospekt) podpisy swoje wyrazić a w przeciągu trzech miesięcy każdemu z was dzieło dostawić przyrzekam!"

Po téj mowie zrobiło się cicho.— Cicho wszędzie —pomyślałem—co to będzie! co to będzie?.. gdy i jeden głos nie odezwał się w otaczającém mnie kole. Wreszcie pan Zawissowski przerwał cierpkie milczenie:

— Za pozwoleniem, czegóż istotnie pan major żądasz?...

— Proszę, odrzekłem, abyś pan raczył dać dwadzieścia złotych, za co ja po upływie trzech miesięcy nadeślę mu dwa tomy dzieła historycznego, które co dopiero wymieniłem.

— Chwalebne, bardzo chwalebne przedsięwzięcia, panie dobrodzieju! lecz ciężkie to cza-

sy.—„Ciężkie, sąsiedzie dobrodzieju!“—odzywali się po kolei pp. Honorowicz, Nierządkowski, burmistrz, podsędek i jakoś powoli, — w zamięszaniu każden się do przybocznego wyniósł pokoju.

Wtém przysunął się do mnie porucznik i z cicha zagadał: „Na Boga! co pan robisz?.,.. takie w tym domu czyniąc odezwy, rozpędzisz gości!“

Wejrzałem przez okno; stał mój Jędrzéj z zaprzężoną bryczką, pożegnałem więc j. w. gospodarstwo, którzy mnie i nie bardzo już zatrzymywali, ukłoniłem się całemu towarzystwu i uczułem się w moim płaszczu; na mojéj bryczce, na drodze ku Rownu.

W godzinkę stanąłem w Rownie.—Przez bramę, herbami upiększoną, wjechałem na obszerny dziedziniec. Walące się gumna, wśród nich straszliwy nieporządek, przykro raziły oko;— natomiast pałac, pokryty cynkiem, z po za ogromnych filarów dumnie na stare zabudowania i chrościane stodoły spoglądać się zdawał.

Przed pałacem przyjął mnie młody Astolf Badyłło po przyjacielsku, wedle zwyczaju.

— Jak się masz, Auguście! to wielkie szczęście, żeś mnie w domu zastał, bo dziś jeszcze do Włoch miałem wyjechać.

— Do Włoch? Tak daleko! — a po co?— zapytałem, gdyśmy się w kawalerskim gabinecie Astolfa ujrzeli.

— Do Włoch! — do Italii. Zwiedzę Wiedeń, Medyolan, Wenecyą, Turyn, Florencyą, Neapol, w Rzymie przezimuję;— potém daléj na Alpy do Szwajcaryi; przez lato zabawię u wód, pod jesień wpadnę do Paryża, zajrzę na chwilkę do Londynu i za rok przez Hamburg, Drezno, Berlin i Wrocław powrócę do Warszawy.

— Zapewnie naukową odbędziesz podróż?...

— Naukową? a niech mię Pan Bóg broni! już dosyć tych nauk.—Nie, łaskawco! ja przeznaczam parę kroć i wyjeżdżam na to, ażeby w świecie europejskim nabrać ruchu, *turniury*, *elegancyi*, *akcentu*, gustu; — przejąć się modami, poznać wyższe towarzystwa a przedewszystkiém sposób podbijania płci słabéj.—Zobaczysz, jak po powrocie wszystkim pięknościom w Warszawie głowy zawracać będę.

Spojrzał w zwierciadło, pogłaskał wymuskane wąsy z hiszpańską i żydowską brodą i rozchwiane na ramionach włosy do utrefionego przywrócił porządku.

— Szkoda! ja rozumiałem, że zostaniesz z nami, poświęcisz się naukom, krajowemu przemysłowi i pracować będziesz wspólnie jako dobry

gospodarz, obywatel.... Czy to się z tą podróżą już zmienić nie może? jabym ci radził....

— Mój kochany, proszę cię, nie perswaduj mi, bo ja zaraz w złym będę humorze.

— Kiedy tak, jedź więc; lecz przed odjazdem spodziewam się, że zrobisz co przecież dobrego i na moję prośbę. — Właśnie przyjechałem do ciebie, pewny, że na wydanie historycznego dzieła, które, jak wiész, Kazimierz wyśledził u jednego z uzdolnionych autorów, dać zechcesz kilkaset talarów, przez co zapewnisz sobie wdzięczność naszę i powszechności. Wydatek ten żadnéj ci nie uczyni różnicy zwłaszcza przy tak wielkich dochodach.

— Miejże litość, kochany Auguście! Prawda, wielkie dochody!—*brutto* jest do miliona, ale *netto* ledwie trzykroć. Ta administracya największą część chłonie. Takiéj summy, jak chcesz, dać ci nie mogę. — *Parol d' honneur* jak mamę koch m! nie mogę!—Ja jestem trochę zrujnowany. Przeszły rok w Warszawie kosztował mnie nie mało; widzisz, było to pierwsze moje pole,— musiałem się pokazać; damy— o damy! Także i w karty mnie wciągnięto a przyzwoitość nie dozwalała odmówić.

— To przynajmniéj weź kilkanaście biletów.....

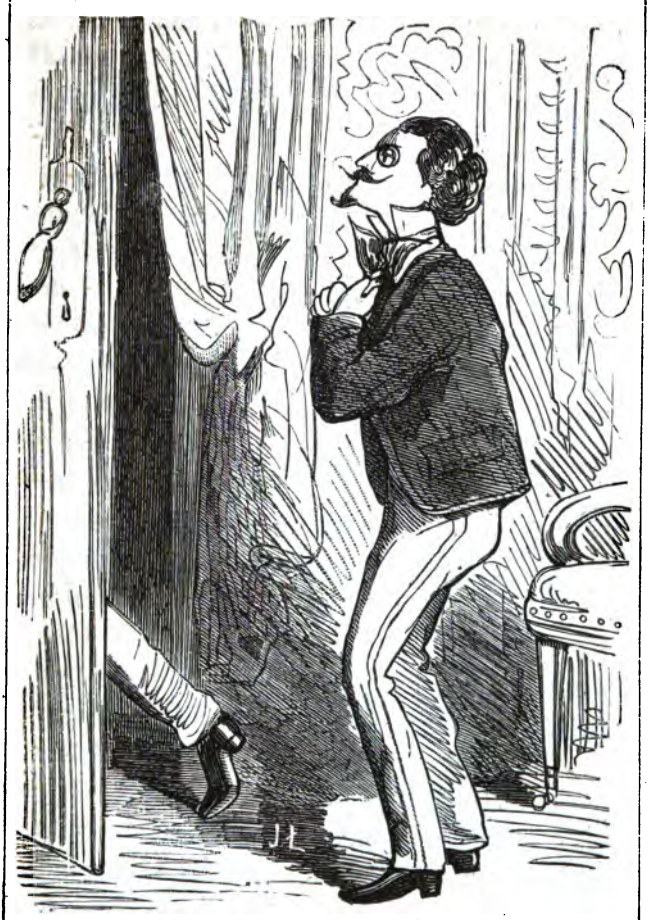

Bo widzisz, słowo honoru w Paryżu....

— Kilkanaście. o nie! jeden, Gucieńku, jeden wezmę. Zresztą wasze te wszystkie pisma przy książkach salonowych to doprawdy niedobrze wyglądają,—bo widzisz, *słowo honoru* w Paryżu...

Porzuciłem Astolfa i znowu z moim Jędrzejem na bryczkę. Dumania gorzkie zajmowały mój umysł i anim spostrzegł, kiedyśmy przed mury gorzelniane pana Fiksowicza zajechali.

Pan Fiksowicz jednę tylko ma myśl w swojéj głowie, to jest maszynę parową Pistoryusza. Całe swoje życie, wszystkie zasoby, wszystko co go otacza, radby na maszynę przerobić i przepędzić, byleby choć tylko jednę kwartę miéć więcéj od sąsiadów swoich wydatku. Bawił u stryja w Galicyi na gospodarstwie i tam to podobno odkrył tę tajemnicę, że całe szczęście ludzi na wywarach i na kotle polega.

Wielki murowany dwór, niegdyś hetmana siedlisko, zmienił na gorzelnią. Zapomniał o żonie i dzieciach, których od lat kilku w mieście nie odwiedził, nie dba na przyjaciół, sąsiadów, na świat cały; sadzi dwieście morgów ziemniaków, poprawia, ulepsza, zwiększa, odmienia aparat, i dzisiaj o mil dziesięć w około on największy ma wydatek! i najmniéj pieniędzy!

Przyjął mnie bardzo grzecznie i poprowadził do suszarni, do izby zaciernéj, do pieca, do pom-

py, na dwór, pod strych i do piwnic. Zmordowałem się bieganiem, rozumowaniem, słuchaniem i po zmarnowaniu długiego czasu w żaden sposób do zapisania na dzieło historyczne skłonić go nie mogłem.

Zły sam na siebie opuściłem to miejsce, z którego nic prócz wódki spodziewać się nie można. Popędzał konie Jędrzéj, odetchnąłem nieco. Już i bydło z pola gnano, gdym przed obszerny dwór pana starosty zajechał. Rad mi był szlachcic, zadowolona jejmość, że gość zawitał. Wina i wina *multum*. — Ale jak przyszło na orzech zgryść, iżby dwadzieścia złotych z sakiewki wyciągnął, rozdąsał się jegomość na te wszystkie niepotrzebne książki, któremi wartogłowy świat zapełniają. Napróżno, wystawiałem, że wnuczęta dorastają, że im się książeczki przydadzą; — było to, dobrodzieju, groch na ścianę rzucać.

— „A dajże mi tam aści pokój! — Mam ja inne wydatki, nie iżbym ciężko zapracowane złotówki na papiery rozpraszał. Tu trza liwerunek, trza czeladź zapłacić, a grosz jak z kamienia; u arendarza pustki, chłopi pić nie chcą, a tu płać i płać. — Walenty! daj jeno większego kielicha! Póki, mówię, tych książek nie było, i zboże jakoś lepiéj popłacało i tych chłopskich kasztanów nie tyle sadzono. I po prawdzie z książak nie uczo-

„Bodaj nam się dobrze działo!"

no nas świętéj ziemi uprawiać. Ot tak, panie! zarznij, odwróć radłem i broną, porusz, sypnij sporą garścią na nowiu i Bogu się oddaj.—Ale te tam w słowa płodo-ciążne— a w grosz lekkie gospodarstwa to na kaduka się zdadzą. Dawniéj żytko i pszeniczka i basta. Dlatega téż jak człek mruknął i kichnął, to go o milę było słychać. A teraz sieją morwę, burak, kartofel, lucernę, koniczynę i wykę;—ot téż patrz, do czego to i pan i chłop, jeżeli się razem wymówić godzi, do czego to podobni.“— Tak prawił starosta i gdy piąty już napełnił kielich, żyły mu na czoło wystąpiły i ze łzami w oczach zawołał:

— „Panie Auguście! nie sil głowy! już mnie tam waści na starość nie nauczysz;—ale ot tak:— „Bodaj nam się dobrze działo!“

I ja już byłem po czterech ogromnych lampach, czułem ogień w mych żyłach, rzuciłem się więc w objęcia starosty i serdeczniśmy się ściskali, kiedy w najszczerszym zachwycie poszepnąłem mu na ucho:

„Dasz, dasz, starosto, chociaż na jeden egzemplarzyk!“

Otarł szlachcic oczy roześmiał się i rzekł:

— Teresiu, cóż począć; trza pono dać na ten rozum dwadzieścia złotych; — a nie możnaby to co utargować?....

Dzień cały zeszedł a ja ledwie ze dwóch zdobyłem prenumeratorów. Stałość i wytrwałość w dobrém przedsięwzięciu, ta myśl mnie zagrzewała.

Następnego dnia gdym po dobrém śniadaniu z domu starosty wyjechał, mój Jędrzéj mi powiedział, że o nim i o koniach szczerze pamiętali i że do bryczki włożono kobiałkę z pytlowym chlebem, garnczek masła, baryłkę bigosu i flaszkę alembikówki.

Kazimierzu! był to nadmiar gościnności staroświny, było to zupełnie zbytecznem. Lecz powiedz mi szczerze, gdybyś całe Włochy, Francyą Anglią i Niemcy objechał, czy znalazłbyś takie tło serca? Są u nas wady i wielkie!—jednakże są i niezwykłe zalety!—Wady poprawić należy i można, ale pięknéj puścizny nie pozbawiajmy się z lekkomyślnością.

Wiedząc, że jenerałowicz, dziedzic Mętnéj Woli, wesoło żyje, bo niedawno usamowolnionym został, spodziewałem się zastać u niego kilkunastu młodzieży. Nie omyliłem się téż wcale. Na dziedzińcu pod różnobarwnym namiotem postrzegłem mniéj więcéj trzydziestu mężczyzn—w kamizelkach, w koszulach z obnażonemi szyjami, z magierkami na głowie, z olbrzymiemi cybuchami w uściech,—osłaniając się

nieprzejrzanym dymem, siedzieli na około wielkiego stołu.

Jużem się zgrai hartów, wyżłów, jamników, kundli i brytanów szczęśliwie opędził, jużem od namiotu o kilka tylko kroków był oddalony a jeszczem nie mógł odgadnąć, co za ważny przedmiot tak liczne zgromadzenie w milczeniu utrzymuje—i dalipan! posądziłem ich o filozoficzne dumania, kiedy na raz słyszę:

„*Attendez*! parol z damy pod waleta, dyska się odgrywa.“

Zbliżyłem się ze zgrozą. Jenerałowicz podał rękę, lecz słowa nie wyrzekł; inni kiwnięciem głowy przyjęli mnie do grona swojego. Nie zadrasnę prawdy, gdy powiem, że sto z górą tysięcy było w obiegu. Właśnie gdy ryżego włosa, mocno zyzowaty, wstążeczką honorową ozdobiony, były wojsk neapolitańskich major talii dokończył, zgalonowany Edwin dał znać, że waza na stole.

— Jak się masz, Guciu!

— Jak się masz, Auguście!

— Witaj nam, nowy poniterze!

— A cóż tu pana literata do nas przywiodło?

— Emil przegrany! — a i Spirydionowi mało co z pięciu tysięcy złp. zostało.

— Wiesz co? — gdyby mnie był król nie zdradził—ale też to djabli był kusz....

— Panie majorze, pan się ładnie wycofał; ja rozumiem, żeś i wczorajsze zrewanżował.

— Co? zrewanżował? on wygrany przynajmniéj dwadzieścia tysięcy!

Ba ba ba — co też to mówicie, ja się zakładam o czterdzieści.

Va! idzie; ja stawiam Lotkę i Wichra a ty wierzchowca!

— Dobrze! idzie!

— Nie idzie!—odrzekł major, — bo ja ani wygranéj ani przegranéj po dniu nie liczę; zresztą nie pamiętam, ilem założył.

— Guciu! po obiedzie sprobujesz i ty szczęścia.

— Uważaliście, że dwójka przez trzy talie leżała.

— Albo to i siódemka złą była?

— *Sacre bleu!* gdybym się był asa trzymał!

— Po obiedzie trzeba majora w stosika zażyć.

Major się uśmiechnął i ruszył głową na lewo i na prawo, dając znak „nie.“

— Ej diable się człowiek usiedzi przy tych kartach; żeby to jak najprędzéj ś. Bartłomiéj

zawitał! Jakie mam pieski, panowie! w pierwszém polu a sforsuję ci najstarszego kota.

W tak miłym rozchoworze przybyliśmy do przestronnéj sali.

— „Proszę, proszę, panie Auguście! jakeś łaskaw, *prénez place.*“

Zupa żółwiowa, pasztet ze zwierzyny na zimno, szynka i szpinak z jajkami, szparagi, kalafiory, dwadzieścia kapłonów z truflami, ciasta, ananasowe galarety, konfitury i cukry; kilka tuzinów *Cabinets-Schloss Johannisberger* i tyleż szampana, przeszło w przeciągu niespełna godziny w zgłodniałe kryjówki walecznych rycerzy króla Faraona. Poczém lody, maraskino, czarna kawa, znów maraskino, — bezzwłocznie świeże fajeczki i, nie tracąc drogiego czasu — daléj pod namiot.

Pełnomocnik, dwóch ekonomów, pisarz prowentowy, gromadka rzemieślników, którzy pałac staroświecki przerabiali, potulne chłopy i dumny kucharz czekali do dwunastéj w noc na posłuchanie; lecz Edwin, prawa rączka, najmilsze oczko pańskie, kamerdyner Edwin, powiedział; „Jaśnie pan nie ma czasu“ — i wszyscy się rozeszli.

Zapalono nowe świece, minęła północ, kur zapiał, błysło zaranie, dzień jak wół, słońce

weszło; trzy razy przez ten czas roznoszono zakąski: wino, herbatę, francuzkie i wrocławskie likwory, gdańskie, gorzkie wódeczki, w końcu po czwarty raz czarną kawę — a walka zacięta nie ustawała na chwilę.

Dziadek kościelny dzwonił na mszę ś., kiedy major ziewnął i poważnym rzekł głosem „Basta!“

Wszyscy groźnie na niego spojrzeli; on usta ironicznym i lekkim uśmiechem przykrasił i jakby od niechcenia zapytał Henryka o konie, które od niego przed godziną był wygrał, czyli bez odmiany są kare.

— Możesz je sobie pan rok cały oglądać, dopóki ci ich w Kijowie na kontraktach zdolniejsi odemnie nie odbiorą, — odrzekł z goryczą pan Henryk Modrzyński, bo przegrawszy podniesiony zawczoraj posag swéj siostry i na własny ożenek kupioną czwórkę, do żartów ochoty nie miał. A i Błażéj Hultnicki, któren wiezione na opłacenie raty Towarzystwa trzy tysiączki przepuścił, takoż zębami zgrzytał. Inni, śpiewając i gwiżdżąc sławne arye z wielkiéj opery: „*Desperacya*,“ do małego lancusia, do sztosika zapraszali.

— Guciu! niechaj major prenumeruje, my nie możemy; widziałeć naszę klęskę, trudno,

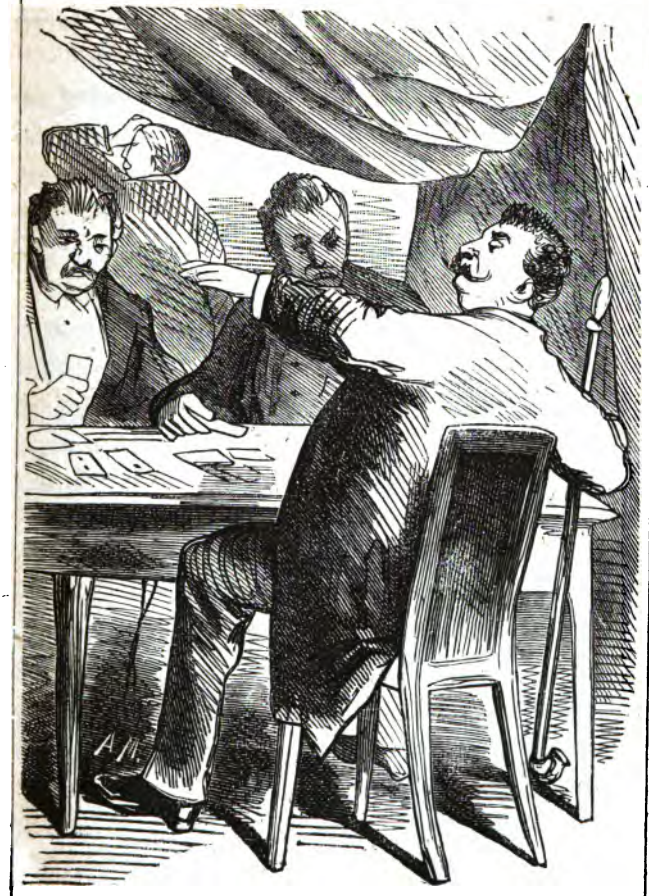

„Basta!'

Auguście, i myślić o dziełach historycznych, kiedy się taką wzięło frycówkę.

Major raczył oświadczyć chęć zapisania się na jeden egzemplarz i położył przedemną dukat oberznięty; — alem jego wspaniałomyślność odsunął, zapewniając, że książki, o których mowa, wiadomości faraonowych nie zawierają bynajmniéj.

Strwoniwszy bezskutecznie niemal dzień i noc, o mojéj przegranéj nie wspomnę, w dalszą zabierałem się podróż, gdy jenerałowiczowi świeże od żyda z miasteczka nadeszły pieniążki; i kiedym z bramy wyjeżdżał, widziałem, że stół pod namiotem znów obstąpiono do koła.

Ostatni to był dom w mojéj wyprawie, gdzie odezwa literacka niemiłe czyniła wrażenie, gdzie o naukowych książkach z niechęcią i odrazą słuchano. Odtąd rozpoczęły się przyjemne sąsiedztwa. U wielu, krom tyle na wsi potrzebnych pism treści agronomicznéj, napotykałem porządne biblioteczki, u innych chęć do czytania nadzwyczajną. — Sam cel zapewnienia ważnego dzieła na własność publiczną pobudzał całe rodziny i pojedyńcze osoby do składania przedpłaty, a kształcenie się umysłowe stało się już dla nich potrzebą. Trudno mi wyrazić rozkoszne uczucie, jakiego doznałem, widząc to szerzące

się przekonanie, że obywatel wiejski istotnie znamienite zajmuje miejsce, że się nie godzi, aby prócz zapisywania pańszczyzny nic więcéj nie znał:

Rozpowszechnia się wreszcie i u nas ta zasada, że właściciel dóbr ziemskich, wywierający wpływ na szczęście kilkudziesiąt, częstokroć i kilkuset rodzin, gdy od jego wyobraźni pada odblask na najliczniejszą część społeczeństwa, winien posiadać wiadomości wielostronne, wyższe usposobienie, zasadniczą a nie instynktową, za lada wietrzykiem zmieniać się dającą, moralną dążność i tę szlachetną godność która głównie z prawdziwéj oświaty wypływa.

Jest wprawdzie jeszcze ćma wielka, ale liczba tych ludzi, których całą zaletą, że są dobrze urodzeni, z dniem każdym szczupleje. Honorowicz, Fiskowicz, Mętna-wola, — są to już coraz rzadsze zjawiska; przebija się i u nas nowa jutrzenka nauk i wyobrażeń dziewiętnastego stulecia. — Głupota i od nas wreszcie ucieka, — niechaj sobie biegnie w machometańskie zwaliska; tam dla niéj ostatnie uchronie, dość długo u nas gościła; — kraje chrześciańskie swoje przeznaczenie pojęły.....

O mało - żem, wpadłszy w zapał, nie rozsze-

rzył się nad tém, co tobie obcem bynajmniéj nie jest.

Przypominając miłą dla mnie obietnicę, że mnie na wsi odwiedzić raczysz, oczekuję cię z utęsknieniem jako niezmiennie życzliwy przyjaciel.

A.

8 maja 1841 r.

LIST

DO REDAKTORA BIBLIOTEKI WARSZAWSKIÉJ

Z ZAŁĄCZENIEM ARTYKUŁU P. T.

WŚCIEKLIZNA LITERACKA.

LIST

Do Redaktora Biblioteki warszawskiéj z załączeniem artykułu p. t.

WSCIEKLIZNA LITERACKA.

Mości Redaktorze Biblioteki warszawskiéj!

W obrębie nauk, w oddziale prac umysłowych oddawna już *communio rerum bonarum* istniało, w nowszych zaś czasach za zasadę przyjętém jest.

Filozofia moralna, uwagi nad chorobami moralnemi XIX stulecia, w Tygodniku Petersburgskim umieszczone, kogoż z literatów, kogoż z mężów, ludzkością tchnących, nie uradują, w kimże wdzięczności nie stworzą? Ażaliż to bowiem nie jest pokarm na spólny duchowy pożytek?... Bacząc, że Warszawa, mająca niemal wszelkie dobroczynne i wiele naukowych zakła-

dów, mająca i gwiazdo-patrznię, pośród miast europejskich podrzędnego miejsca nie zajmuje; bacząc, mówię, na to, powziąłem myśl, ażaliby i stałego spostrzegacza chorób moralnych XIX stulecia mieć nie winna.

W. pan dobrodziéj znasz mnie, że jestem do popędu skłonny, że pomysły moje lotem błyskawicy w zrzeczywistnienie przechodzą. Otóż ledwie żem oczyma Gorączkę paskwiliczną przebieżał, ledwo że mózg treść główną odgadnął, już pióro spostrzeżenia i uwagi nad wściekliznę literacką kreśliło a serce leków poszukać i wynaleźć kazało.

Do w. pana dobrodzieja z prośbą się udaję, ażebyś raczył w Bibliotece warszawskiéj chociażby w Rozmaitościach, dla spostrzeżeń moich skromnego dozwolić miejsca. Niechaj się w. pan dobrodziéj pierwszym artykułem nie przestrasza; jest wprawdzie okropny sam wyraz „wścieklizna“ i odrazą napełnia, wszakże zagłębiając się nadal w téj pięknéj gałęzi sztuki lekarskiéj, wynajdę chorobę, może mniéj gwałtowną; i tak: na październik; da Bóg doczekać, pragnę wykończyć spostrzeżenia nad mdłościami literackiemi; na listopad poczynię uwagi nad chorobą „Kołowacizna“ czyli „*Kołowrot*“ zwaną; — na grudzień wygotuję receptę na Przeziębienie

mózgu; — i nadto celem pożegnawczéj czci dla starego roku obszerną napiszę rozprawę o hemoroidach w poezyi; — jest to słabość niestety! bardzo dzisiaj pomiędzy młodymi ludźmi zagęszczona, do uleczenia trudna.

Zakres Biblioteki warszawskiéj umiejętności lekarskich w sobie nie mieści; aleć ja, pisząc o chorobach moralno-literackich, na zarzut wnoszenia prospektem nie ogłoszonych przedmiotów nie zasługuję, bo filozofią moralną obrabiam.

W nadziei że.... że, — to jest, jak się w. pan dobrodziéj domyślić raczysz, — pragnę przy powtórzeniu prośby o łaskawe przyjmowanie moich spostrzeżeń, list przyzwoicie i z grzecznością zakończyć — a zatem z powożaniem nader i wielce życzliwy i t. d.

Au. Wi.

Pisałem w Warszawie dnia 18 sierpnia 1841 r.

P. S. Zobowiązanie się moje przesłania w. panu dobrodziejowi dalszych artykułów o tyle tylko za pewne oznaczam, o ile uledz mi nie przyjdzie pod prośbami literatów, cichaczem leczyć się chcących.

WŚCIEKLIZNA LITERACKA.

Spostrzeżenia warszawskie nad chorobami moralnemi XIX stulecia.

W naszym wieku, wieku ciągłych popędów i pomysłów a, Bogu dzięki, i rzeczywistych postępów, objawiają się częste poszlaki rozmaitych i różnorodnych słabości umysłowych a nie rzadko chorób moralnych; wyborny opis niektórych czytaliśmy w Tygodniku petersburgskim.

Wysoce ceniąc usiłowania ludzkością tchnących mężów, a zarazem zważając, że z jednego miejsca wszystkich spostrzeżeń uczynić nie można, przedsięwzięliśmy i z widnokręgu warszawskiego rzeczone choroby literackie badać, nowe odkrycia gromadzić i takowe na duchowy całego świata pożytek ogłaszać, przez co pierwotnemu przedsięwzięciu nie tylko przyjdziemy w pomoc, ale i możebną jednostronność w poczynionych już uwagach albo usuniemy lub też przynajmniéj sprostujemy. Iżby zaś godnie zacząć, wprowadzamy rzecz jeszcze nie tkniętą, chorobę ciężką, zjadliwą, dobru ogólnemu zagrażającą,

to jest: mówić będziemy o wściekliźnie literackiéj.

Wścieklizna literacka, (frenesia subtilis, vel metaphysica), ponobną jest do wścieklizny zwykłéj (hydrophobia), ale w swéj istocie wcale od niéj oddzielna i do zupełnie innego rodzaju należy.

Główną przyczyną téj choroby jest: pierwotnie nadzwyczajna narośl miłości własnéj, płynu zebranego w ogromnym zasobie. Badacze przyrodzenia przekonali się z licznych doświadczeń, że są istoty, osobliwie literackiego powołania, które w ciągu życia gromadzą w sobie tego płynu tyle, iż on $52^{993}/_{999}$ razy więcéj waży jak całe ciało ze wszystkiemi dodatkami. Przypuściwszy więc; że literat, choćby też najchudszy, waży funtów 28 i łutów 4, narośl w nim taka ważyłaby centnarów 14, funtów 90, łutów $19^{11}/_{111}$, to jest tyle, co $5^{1}/_{3}$ najotylszych ludzi. Zjawisko nadzwyczajne! — Naruszenie takowej narośli stanowi wściekliznę literacką.

Do zebrania wielkiéj ilości rzeczonego płynu przysposabia natura a częściéj wychowanie. Znajdowano ludzi, opatrzonych z natury łokciowym worem przy sercu na przyjęcie wszelkiego rodzaju pochlebstw i madrygałów, lub mających gęstą siatkę przy mózgu na przytrzymanie ulubio-

nych myśli o sobie, które tam powstały w kształcie wieńca, kolumn, strzałek i aniołków. Troskliwe rozwinięcie i wzmocnienie sił umysłowych więcéj od natury działa. Ztąd choroba ta niebezpieczna napada zwykle moralnie zaniedbane dzieci, pieszczochów, którzy utyli na karmelkach i pod wyłącznym dozorem ukochanéj babki wzrośli, a często bardzo wielbicieli muz, to jest pomniejszych artystów dramatycznych, kompozytorów, malarzy, wierszopisów i wszelkiego rodzaju literatów. Chociaż to złe przywiązuje się zwykle do miernych zdolności, zjawia się jednak, ale nadzwyczaj rzadko, w talentach wyższych.

Miłośników sztuk pięknych prawie zawsze usposabia do takiéj choroby grono przyjaciół, krewnych, powinowatych, *kolligacyi*; wieczorynki, biesiadki; bliżéj znajomi poczciwcy, kiedy są ludźmi ograniczonymi czyli z ciasném pojęciem; — wśród nich ulubieniec robi pierwszy krok w obranym zawodzie i występuje z próbkami zdolności swoich. Na pierwsze zjawienie się, stósownie do przygotowania a często do ułożonego poprzednio programatu, powstaje okrzyk podziwienia i radości. Ten okrzyk działa tak silnie na słabe nerwy ulubieńca, że zaraz w nich zaród choroby zostawia; odtąd pisarz lub arty-

sta to pierwsze powodzenie uważa za swój świat, za świat ogółu, szpontuje się w niém szczelnie i w tym to stanie przylega mu do mózgu myśl, że on jest bez błędu, że jest doskonały, że jest nieomylny; — myśl ta medycznie nazywa się: idea fixa. Wówczas to właśnie zarodzi się nieszczęśliwa narośl, która się powiększa w postępie geometrycznym z jego publiczném życiem; od téj chwili rozwija się zgubna choroba z poznakami następującemi:

1) Ciągła litość dla wszystkich, co się ośmielają do niego zbliżyć i parę słów z objawieniem zdania swojego przemówić. Chory uważa, że innego nie potrzeba zdania, kiedy on już swoje światu ogłosił.

2) Wzdychanie do powagi, albowiem, chociażby był najmłodszym, przekonany jest zupełnie o swej dojrzałości a nawet o starym i wytrawnym rozumie. W téj przybranéj powadze tak wygląda, jak sześcioletni synek grenadyera w bermycy ojca lub malec postyliona w jego olbrzymich butach.

3) Wstręt do wszelkiéj przyzwoitości, gdyż wszędzie rozumie, że jest u siebie i że niepotrzebuje na swoje czyny żadnego dawać baczenia.

4) Ciągle naiwna niewinność, szczególniéj w mowie o własnych zaletach.

5) Uśmiech wewnętrznéj rozkoszy, gdyż dla sprawienia sobie przyjemnych wrażeń puszcza po mózgu, jakoby chrabąszcze po nosie, same pewniki; na przykład zdaje mu się, że opinia publiczna, opinia jego wielbicieli jest nabytą na wieczne czasy własnością nieruchomo i nie zależy od jego zdań ani od jego czynów; uważa że bez ustanku donośnym i pewnym głosem należy śpiewać hymn na cześć własną i wciągać gwałtem opinią publiczną do tego chóru, a ująwszy ją raz w swe dłonie, trzymać potężnie, bo ona niema własnéj siły i jest jak chorągiewka, która się tak obraca, jak wiatr zawieje; nie przypuszcza, ażeby mu ktokolwiek chciał prawdę powiedzieć dla prawdy. — Smaczne prawdy przyjmuje a niesmaczne uważa za utwór zazdrości, zawiści i podłości nieprzyjaciół, którzy wiecznie wielkie talenta prześladują. Zdaje mu się, że zdobyta przychylność opinii publicznéj jest jak szata jedyna na ziemi, wtenczas kiedy wszyscy inni nago chodzić muszą. Dlatego nie dziwi się wcale, że kto się w szatę przyodziać pragnie, musi ją gwałtem, jak rozbójnik, ustrojonemu wydrzéć właścicielowi, gdyż innego nie ma sposobu.

W takim stanie choroby i przy tych poznakach narośl dojrzewa, nabiera największych

drażliwości i to właśnie chwila zupełnego usposobienia do wścieklizny literackiéj. Za najmniejszém poruszeniem narośli niebezpieczna choroba wybucha paroksyzmami, a jeżeli się kto odważy lancetem lub igłą chociażby najdelikatniejszą narośl przekłuć i dotknąć najczulszego punktu, gdzie się *idea fixa* usadowiła, wówczas, osobliwie literat, staje się najgwałtowniejszym *(furiosissimus)*, w paroksyzmie robi *salto mortale* na kilka sążni od ziemi a potém zieje namiętnością i metafizycznemi myślami jakoby ogniem, zapomina o sobie a dla drugich staje się srogim Atyllą, biczem Bożym. — Biada temu, kto mu jakąkolwiek częścią w ręce wpadnie! Paroksyzmy takie rozmaite sprawiają skutki stósownie do sił chorego. Jeżeli cierpiący jest osobą bardzo słabych zdolności umysłowych, narośl wcale się nie zmniejsza, przybiera przeciwnie twardą, jakoby żółwią powłokę czyli tarcz, traci następnie czułość i niezdobyta idea zostaje do śmierci; — jeżeli zaś chory obdarzony jest wyższemi zdolnościami a jego władze umysłowe są silne, po pierwszym paroksyzmie płyn miłości własnéj z narośli szybko odpływa, a pacyent do zdrowia powraca i do takiego nawet przychodzi zdrowia, jakiém się nigdy poprzednio nie cieszył. — Odtąd wesoło i jasno

w świat spogląda; widzi, że *opinia ogółu w jakichbądź przemianach jest zawsze zdrowym i najsilniejszym sądem*, na który się zupełnie spuścić należy; że sypać pochwały jest najwygodniejszą rzeczą i nic nie kosztuje, a być przeciwnego innym zdania przychodzi trudniéj i zawsze potrzebuje przynajmniéj pewnego namysłu, że nigdy w zdaniu nie chodzi o to, kto je odsłonił, lecz o to, co powiedział zwłaszcza w czasach dzisiejszego uobyczajenia, kiedy każdy z nas, swoje zdanie drukujący, powtórzyć je gotów ustnie a może nawet z małemi dodatkami. — Takie się ocalonemu nastręczą uwagi i te go zwolna przyprowadzają do wniosku, że czasem może miéć błędy i że je drudzy nietylko wytknąć lecz nawet roześmiać się z nich mogą; a czy to sprawiedliwie czy niesprawiedliwie, to jednak nigdy wartości jego nie zmniejszy, tém bardziéj, kiedy jéj nie chce za wyższą jak jest, sprzedawać; — wówczas pozna różnicę pomiędzy zdaniem, drukowaném bezimiennie a pismami prywatnemi, jakie mu kto bezimiennie przysyła; nie będzie ich odtąd nigdy razem mięszał, choćby mu taki sposób obrony miłość własna najnamiętniéj doradzała.

Te i tym podobne myśli wejdą w miejsce pewników i odtąd postępować będzie razem z ogółem; poświęci mu swoje prace, uczuje czém

już jest, a najbardziéj, czém być może i czém być powinien.

Prócz przekłócia narośli świadomi sztuki lekarskiéj kilka jeszcze lekarstw na wściekliznę literacką doradzają, wszystkie jednak są tylko *preserwatywami* i używane być winny przed paroksyzmem. Niektóre okazały już wielki skutek. I tak przejażdżka, którąby pacyent mógł odbyć ze swojego świata na świeże, na inne powietrze, często działa najzbawienniéj.

Krwi człowiekowi takiemu puszczać nie można, gdyż jéj ma bardzo mało a bardzo wiele potrzebuje. Wyborny sposób na wyleczenie jest rozpocząć z pacyentem grę w talizmana niewidzialności i, czy będzie krzyczał czy się będzie nadstawiał, czy będzie spokojny czy będzie w gniewie, udawać ciągle, że jest niewidzialnym i postępować tak, jak gdyby go nie było, jak gdyby go nikt nie widział i nie słyszał. Jeżeli to nie pomoże, potrzeba mocniejszego użyć środka, można mu wyjednać patent na spokojną fabrykacyą złych wierszy, niezdarnéj prozy i innych klejonek. Patent taki należy doręczyć mu uroczyście a potém wraz z jego najlepszemi sąsiadami wmówić w niego (co jest łatwo), że jest Apollinem i kadzić mu, kadzić jak najobficiéj dopóty, dopóki opuchlina nosa nie przekona, że kadzidło

zbawienny skutek wywarło. Po téj kuracyi pacyent, chociażby najdzikszy, często nabiera niezwykłéj ogłady a nawet świetnéj obyczajności. W szalonych paroksyzmach wścieklizny literackiéj często i pacyent i obecne osoby są w wielkiém niebezpieczeństwie. Chory w zapamiętałém uniesieniu wszystkie w około przedmioty chwyta zębami, — często niezwykły przez to okazuje apetyt do mięsa, osobliwie do kawałków delikatniejszych; — część więc pewną można mu dać do nasycenia się zupełnego a tym sposobem traci chętkę do wojowania zębami. Gdyby jednak komu miał ranę zadać a wściekły jest wierszopisem, należy natenczas co prędzéj część skaleczoną jego własnemi wierszami okładać, które najlepiéj goją.

Historyczne wiadomości o téj chorobie są bardzo niezgodne; utrzymują jedni, że przyszła do nas z Indyi Wschodnich od pokolenia zamieszkującego pagórki „Samoluby“ zwane; tamże leczoną bywa przez Braminów za pomocą pędzlowania wroniém piórem, maczanym w prażonym miodzie. — Drudzy twierdzą, że ojczyzną wścieklizny literackiéj są Chiny, gdzie na tę chorobę innych nie znają środków jak tylko zmuszenie chorego do zażywania ciemiężycy, przez co nieszczęśliwy nieprzestannie członek powonienia

przeczyszcza a w końcu o tyle go przeczyści, że wszelkie zapachy dostatecznie rozróżnia i zdrowym się staje. Niektórzy zaś wskazują za główne siedlisko wścieklizny literackiéj krainę Arabów, zapewniając, że się okładaniem zimnéj wody na czaszkę leczyć zwykli. Ale to bajka być musi — wszakżeż Arabowie są ludem prawdziwéj poezyi, ogniści i mężni. To jednak pozostaje niewątpliwą prawdą, że wścieklizna literacka idzie za słońcem a nie pod słońce.

LIST

do Redaktora Biblioteki warszawskiéj, donoszący o natarczywości chorujących na mdłości literackie.

LIST

do Redaktora Biblioteki warszawskiéj, donoszący o natarczywości chorujących na mdłości literackie.

Wielmożny Mości Dobrodzieju!

Jakoby duchem wieszczym uczyniłem uwagę, że w dostarczaniu spostrzeżeń nad moralnemi chorobami XIX stulecia mogę mieć od cichaczem leczyć się chcących niecofnione przeszkody i że w takowym razie mojego zobowiązania się szczerze dotrzymać nie będę w stanie.

Czytaj, panie, i sądź; rzecz się tak ma.

Siedzę przy moim skromnym stoliku, okrywam się kłębami orzeźwiającego mnie dymku z ulubionéj luleczki i z mężną cierpliwością Pamiętniki Kwestarza raz jeszcze poprawczo przezieram, gdyż mój Pawełek donośnym u drzwi ozwał się głosem:

„Pan X... N...!“

— Czegóż tak wrzeszczysz, — nieco pomie-

szany odrzekłem—przecież nie jesteś woźnym; powiedz temu panu, że proszę.

Mężczyzna około 50 lat mający, z czarną czupryną, starannie do góry podczesaną, wzrostu w samo prawie, ubrany kuso i opięto, z laską w ręku bardzo przyzwoitą, bo i w złotą gałkę i w dwa kutasy zaopatrzoną, na pierwsze wejrzenie człowiek uczciwy, (mówię uczciwy, albowiem dzisiaj porządnie ubranych ludzi po największéj części uczciwymi zowią); on tedy mój gość po trzech czy czterech ukłonach rzekł:

— Czy mam przyjemność mówienia z panem Au: Wi:?

— Co pan dobrodziéj rozkazać raczysz?

— Jestem X.... N....

— Bardzo mi miło.

— Przychodzę do pana dobrodzieja w przedmiocie literacko-lekarskim, a mianowicie chciałbym pana prosić o tajemną radę, zarazem o zaochronienie mojéj choroby od jawnych rozbiorów, które do Bibl. warsz. zapowiedziałeś.

— *Mdłości, kołowacizna* czy *przeziębienie*?

— Istotnie są to *mdłości*.

— A więc *finesia suchotna vel pura?*

— Tak jest, panie dobrodzieju.

— Wm. pan pragniesz, chcesz, usiłujesz pisać porządnie ale dokonać tego nie jesteś w stanie?

— Tak, tak, — o tak!

— Zwykle napada cię, panie, ognista wola zaczynania pracy od poniedziałku, od pierwszego każdego miesiąca, od kwartału, od półrocza, i w żaden sposób nic rozpoczętego ani źle ani dobrze ukończyć nie możesz i psując do roku kilkanaście ryz papieru, papierniom a nie literaturze przysługę czynisz.

— Prawdziwie, że się pan dobrodziéj nie mylisz.

— Szczególniéj zaś przy téj chorobie dotkliwą bywa myśl, że wszyscy na jednego się spiknęli, to jest: zdaje się Wm. panu dobrodziejowi, że każden literat radby cię w łyżce wody utopić; że wysyłają na miejsca publiczne najemców, aby ci nawet twoje początki zganili; że całe miasto od rana do wieczora tobą zajęte, przeciw tobie knuje potwarze, przędzie intrygi i mylne rozpuszcza wieści, iżby cię zgnieść, zniszczyć, zatratować, panie, kiedy po prawdzie wielu zapomniało, że żyjesz na świecie.

— O! znasz mnie, panie, w najgłębszych tajnikach, znasz z najwyższą dokładnością; racz więc wskazać ratunek, a do zgonu najrzetelniejszą zachowam wdzięczność.

Dałem, o ile można, najwięcéj pojedyńcze a stanowczo skutkujące przepisy, to jest: radzi-

łem mu albo zrzec się nieszczęśliwego obranego zawodu albo mimo lat pięćdziesięciu uczyć się pilnie, czytać wiele a czytać z natężoną uwagą i z pracowitością, jak np. zgłębić Platona, Arystotelesa i innych starożytnych klasyków; strawić Kanta, Szellinga i Hegla; poznać dokładnie pisarzy z czasów zygmuntowskich; zaprzyjaźnić się z uczuciem i z myślami prawdziwie wielkich poetów jak niemniéj z dzieł najnowszych wyłonić sobie ideę dzisiejszego wieku dla wiedzy, czego obecnie świat od nas żąda. — Przyczém zaleciłem okładanie serca gorącym atramentem, odgotowanym w garnku z gliny krajowéj.

Mdłości literackie, przekonałem się, dzielą się na dwie główne części, na prozaiczne i na poetyczne, wyradzają się najczęściéj na wsi i po małych miasteczkach i w takich miejscach, gdzie pisma peryodyczne, gdzie zdrowa umnicza krytyka bardzo rzadko albo wcale nie dochodzą. Jest to choroba rodowa, nasza własna i pierwszy początek bierze z odrazy do czytania książek czysto naukowych, nie rzadko z odrazy do literatury zagranicznéj (nie mówię tutaj o śmieciach literackich ale o pisarzach genialnych). Przed pojawieniem się romantyczności litewskiego wieszcza była epidemiczną po całéj niemal Słowiańszczyźnie; — cierpieniom tym uległo wielu słynnych

w kraju naszym mężów; dzisiaj czepia się tych tylko jeszcze, którzy nowych wyobrażeń ani przyjmować ani pojąć nie chcą. Jeżeli chory długo bez pomocy lekarskiéj zostaje, literackie mdłości zmieniają się w rymowe zatwardzenie wątroby, *casus incurabilis*, w chorobę, z literackim skirem blizko graniczącą.

Ledwo że mnie p. X... N... opuścił, ledwo żem świeżą fajeczkę zaniecił, wbiegł, o pozwolenie nie pytając Pawełka, cichuteńko, na palcach, w ciągłych ukłonach, młodzieniec cudnéj urody, z jasnopłowym, niedbale po czole rozchwianym włosem, ze spojrzeniem tak czułém, tak tkliwém, tak rzewném, tak melancholiczném, iż rozumiałem, że bledziuchno niebieskie oczy tego panicza raczéj dziewicy nie zaś mężczyzny są własnością; i gdyby nie krawatka *à la Taglioni*, gdyby nie kamizelka *à l'Espartero*, gdyby nie rajtrok *à la Pagliasso (Bajazzo)*, gdyby nie brzęczące u chińskiego obuwia ostrogi, w zakład-bym był poszedł, że los życzliwy nadobne lwiątko do mego wprowadza uchronia. Lecz jeżeli powierzchowność była wydmuchaném odbiciem pieszczonego dziewczęcia, jeżeli głosik łagodnością zachwycał, niemniéj treść mowy do łez wzruszała.

— Przebacz, panie! że nie znający, nie znany, pomocy tutaj szukać przychodzę; —

wszakżeż rozgłos dobroci serca wm. pana dobrodzieja....

— Panie dobrodzieju!....

— Jestem literat — o stokroć więcéj aniżeli literat — wstydzę się pomyłki — jestem piewcą! jestem poetą!.... Ale czarna gwiazda mojego przeznaczenia, która nad moję zajrzała kolebkę, zaciemniła i drogę młodzieńczego żywota i ściga mnie wszędzie i zawsze. Od lat dwóch jestem skończonym poetą; moje utwory zakwitły na najtkliwszéj wyobraźni, obrałem najwdzięczniejszą niwę, splotłem równiankę wyrazów najczulszéj miłości! — Ale wróg mojego szczęścia, nieprzyjazny duch mojego jestestwa, sprowadził w mój organizm wielką, nadzwyczajną, niewysłowioną rozkosz, słodycz i przyjemność, która innym a osobliwie memu stryjowi chorobą się wydaje.

— Boże cię broń, kawalerze!

— O! to nic nie jest; ja się zupełnie pod sąd wm. pana dobrodzieja oddaję. — Stryjaszek gwałtem nastaje abym się nie zajmował wierszami, i twierdzi, że z nich w większą chorobę popaść mogę, że to jest moją zgubą. — Mama w wielkiéj ztąd niespokojności żąda, abym od wm. pana dobrodzieja przyniósł świadectwo, że mi ro-

bienie wierszy wcale nie szkodzi, że bez uszczerbku zdrowia poezyi poświęcić się mogę.

— Mój miły kawalerze! powiedz mi, proszę, jaka cię to przyjemność napada przy robieniu wierszy?

— Oto tak, mości dobrodzieju! przy zamkniętych drzwiach, przy zasłonionych oknach, sam na sam spisuję końcówki najpiękniejsze, potém dorabiam wiersze, i wystaw sobie pan dobrodziéj, co to jest talent! Wyborne z tego robią się poemata.

— Doprawdy?

— Tak jest, słowo daję. Po ukończeniu zwykle taki poemat odczytuję sobie. Świat mi z oczu znika a ja wpadam w jakąś lubość, przyjemność, rozkosz.

— Czy to nie mdłości czasami?

— Wprawdzie zawsze mi wtenczas tak mdło, tak słodko, jak gdyby mnie kto miodem przesycił; — boć téż pan wiesz najlepiéj, że poezya jest słodszą od miodu; — to mnie jednak najbardziej gniewa, że kiedy moje poezye innym czytam, nic tego nie czują. — Ludzie są kamienni! Mało znajomi słuchają jakoby przez grzeczność, przyjaciele uchodzą do przyległych pokoi a krewni dokończyć nawet nie dadzą. Ostatni wypadek najbardziéj mnie zmartwił; racz tylko pan dobro-

dziéj posłuchać łaskawie. Napisałem fantazyjną odę pod tytułem: „Miłość Aniołków,“ gdzie wystawiłem, jak jeden mały aniołek płci żeńskiéj kochał się w 24 aniołkach płci męzkiéj. Naturalnie tkliwość w takiém zgromadzeniu wielka. Odę tę jako na surpryzę mamie czytałem w dnień jéj imienin wśród gości, których się mnóstwo zebrało. Cóż pan powiesz? — Deklamacya była wyborna; ja z uczucia i z najżywszéj rozkoszy wpadłem jakoby w maleńkie omdlenie, a obecni — nie! — nie powiem panu dobrodziejowi, bo mi to bardzo przykro, że są tacy ludzie dzicy, zbójcy własnego serca, na których nawet te wiersze żadnego nie zrobiły wrażenia.

„Serce żyje dla serca, w sercu bije serce!
Dwadzieścia pięć serc w jednéj goreje iskierce,
I w tę iskierkę miłość bezustannie dmucha,
I ten serc związek ogniem nadzwyczajnym bucha.“

— Wybornie, wybornie! — gdzież, kawalerze, do szkół chodziłeś?

— Pierwotnie uczyłem się z mojemi siostrami przy guwernantce przez lat 4, bo mama długo nie mogła się z tą myślą oswoić, iżby mnie w obce powierzyć miała ręce; wszakżeż późniéj na powtarzane żądania stryja oddano mnie do Warszawy; ale że mama obawiała się, abym się

wśród szkolnéj młodzieży nie zepsuł, brałem więc tylko prywatne lekcye śpiewu, muzyki, tańca, historyi naturalnéj, rysunków, konnéj jazdy i przedewszystkiém konwersacyi w języku francuzkim.

— Więc kawaler nie był nigdy w gimnazyum?

— Złożyłem egzamin do trzeciéj klassy, jednakże dla słabości zdrowia do gimnazyum nie uczęszczałem.

— W któréj epoce nabrał kawaler natchnienia do poezyi?

— Ja już przy guwernantce pisywałem wiersze, które moję mamę do łez pobudzały. Stryj tylko, człowiek stary i zrzędny, nazywał to niedorzecznością i stratą drogiego czasu. Następnie biorąc lekcye u pana Gammé, tłumaczyłem wiersze fraucuzkie zaraz na polskie i pod jego to kierunkiem wykształciłem się właściwie na poetę...

— Poezye kawalera już są drukowane?

— Niektóre — a wszystkie o miłości, bo ja zawsze o miłości piszę; lecz najmocniéj pana dobrodzieja proszę, daj mi na to sposób, ażeby ci, którym ja moje utwory czytywać będę, równie ze mną wpadli w rozkosz, w omdlenie!...

— Ja sądzę, że lepiéj będzie, jeżeli ty sam, kawalerze, pozbędziesz się tych mdłości a przy-

najmniéj, abyś ich w takim nie miewał stopniu, który strachem przejmuje mamę i gniewa stryja.

— I to dobrze; czy mi pan jaką receptę zapiszesz?

— Tak jest!

Wziąłem więc papieru ze złotym brzegiem i do matki miłosnego poety napisałem:

Jaśnie Wielmożna Pani!

Syn j. w. pani cierpi mdłości literackie. Słabość ta dotąd nie ma nic niebezpiecznego, należy tylko młodzieńca baczniéj prowadzić i robić co tu przepisuję:

1) natychmiast jego wszystkie wiersze bez wyjątku spalić;

2) książki z poezyą jakiegokolwiek rodzaju odebrać i starannie przed nim schować;

3) winien pobierać każdodziennie dwie godziny matematyki;

4) po kilku miesiącach rozpocząć z nim lekcye administracyi i prawa; która z nich mniéj go nudzić będzie, téj niechaj się całkiem poświęci;

5) poddawać mu do czytania dzieła prozą pisane, których nie urojenie ale rzeczywistość i rosądek są charakterystyką, — a osobliwie dzieła historyczne;

6) gdyby bardzo tęsknił za wierszami, pozwolić mu je robić ale bez końcówek.

Po sześciu miesiącach, jeżeli powyższe środki skutkować nie będą, proszę mi przysłać pacyenta.

List ten zapieczętowany powierzyłem młodzieńcowi przy zaręczeniu, że zawiera żądane świadectwo zdrowia. Nie domyślając się sprzecznych swéj woli lekarstw, podziękował uradowany i pięć czątych na stole położył. — Zwróciłem pieniądze, upewniwszy go, że ja słabości literackie zawsze darmo leczę.

— Więc przynajmniéj pozwolisz, panie, że na cześć twoję odę napiszę!

— Bardzo dobrze, skoro tylko mama i stryj na to zezwolić raczą, — odrzekłem i pożegnałem młodzieńca.

Szczęśliwy, żem się pozbył kawalera z poetycznemi mdłościami, odrywam się od wszelkich chorób i w świat zdrowy puszczam cugle mojéj wyobraźni, marzę spokojnie i tak wielka cichość otoczyła moje mieszkanie, że brzęk komara jak gdyby trąbkę kawalerzysty słyszeć było można; — w tém drzwi trzasnęły, odepchnięty od nich Pawełek upadł jak długi a straszliwie groźne wyrazy nagle nad mojém uchem zabrzmiały.

— Ha! barbarzyńco! ha! człowieku bez sumienia! złapałam cię przecież! Więc to wpan o mdłościach piszesz i z moich dzieł a nawet z mojéj osoby wzorki sobie wybierasz, abyś niemi śmieszków bawił?—Więc i ja na mdłości choruję?— Bo się tak wpanu podobało i tak wpanu potrzeba.—O! nie ukrył się ten projekcik, wiem o nim od moich przyjaciółek, wiem wszystko, wiem najdrobniejsze wpana zamiary, wiem, co w twojéj głowie...

— Mościa dobrodziejko! rozumiem...

— Co wpan rozumiesz? nic nie rozumiesz! nie wolno ci rozumieć! bo dzięki postępowi czasu znikł feudalizm sądu. Mam własne zdanie o moich pracach i cudzego nie potrzebuję ani mu też nie wierzę. Nie wiele potrzeba rozumu, ażeby odgadnąć, jakie będą rady wpana na mdłości, któreś w Bibliotece zapowiedział, rozgłosił, rozkrzyczał. Czy pan myślisz, że ja pozwolę, abyś mój honor literacki nicował i szarpał?

Oniemiałem, patrząc na okazałą postać niemłodéj już kobiety, która w zwichrzonym ubiorze, w wielkim, w tył opadłym kapeluszu, z pałającym wzrokiem, jednym tchem prawie tę całą rozmowę wyzionęła. Widząc, że się cokolwiek zakrztusiła i że będzie nieco czasu przemówić, odezwałem się najgrzeczniéj:

— Pozwól, pani!...

— Co? ja mam pozwolić, ażebyś wpan wydzierał mi moję zasłużoną reputacyą... o! nie, z tego nic nie będzie! Przeciwnie, ja wcale nie pozwalam!...

— Ale...

— Co za ale! żadne ale! Moje pisma są bez ale! wpan obłędniałeś ze swojém ale. — Czytałeś je przynajmniéj po kilka razy? A więc dobrze... Mój pierwszy romans p. t. „Mały beksa“ powiedz, powiedz śmiało, zły czy dobry?

— Zaiste nie wiem....

— O Boże! on nie wie!... serce mi pęka! nie wie! Bo wpan nic nie wiesz, a co wiesz, to wszystko czarno.—Patrzcie! takie dzieło nie przemówiło do jego duszy. Mniejsza o to; lecz jeżeli masz Boga w sercu, powiedz, jak ci się podoba moja druga powieść historyczna, czysto historyczna, pod tytułem: „Heloiza i Sułtan“ w rok późniéj drukowana; powiedz, zła czy dobra?...

— Byłoby nieprzyzwoitością...

— Jak? co? nieprzyzwoitością! Zabijasz mnie okrutniku! piersi moje boleścią przeszywasz! Więc nieprzyzwoita dla tego, że Heloiza poznała Sułtana... O uprzedzenie!... dobrze, więc dobrze! Za to mów mi otwarcie, czyli moje ostatnie

dziełko: „Trębacz i Pasterka“ nie jest arcytworem poezyi?

— Wyznaję, że niedorzeczność...

— Niedorzeczność! ratujcie mnie! ratujcie! — i szanowna literatka legła zemdlona na moje ręce... Ciągnę na sofę, trzeźwię wodą kolońską, octem, tabaką; mdłości i mdłości, nic nie pomaga. W największéj trwodze, dzięki Bogu! myśl szczęśliwa zabłysła; rzuciłem się na kolana i w lewe ucho z całego gardła krzyknąłem:

— Pani dobrodziejko! pani dobrodziejko! pani nie raczyłaś mnie zrozumieć, pani mi mówić nie dozwoliłaś! Ja chciałem powiedzieć, co czuję, o czém przekonany jestem, że Mały Beksa prześliczny, że Heloiza i Sułtan doskonały, historyczny i cudowny utwór, że Trębacz jest ozdobą literatury. Słyszysz, — pani, wszystko przetłumaczone na język francuzki, niemiecki, angielski. — Ja jutro, z pewnością umieszczę w Kuryerze z moim własnym podpisem pochwalny rozbiór wszystkich dzieł pani.

Na te wyrazy jakby ręką kto odjął, ustały natychmiast mdłości; a literatka, podnosząc się lekko i śmiało i poprawiając ubiór, z przyjemném wejrzeniem a z milszym jeszcze uśmiechem wśród licznych ukłonów i dygów słodziutkim wyrzekła głosem:

— Ah! szanowny mości dobrodzieju! po tysiąc razy przepraszam.... To moich przyjaciółek robótka, — to ich ploteczka, którym ja w żaden sposób nie wierzyłam. Przyjm wpan dobrodziéj zapewnienie mojego szacunku i najżywszego uczucia, jakie dla jego osoby i dzieł znakomitych popowzięłam, dzieląc tylko sympatyą, a jaką publiczność i najświatlejsi mężowie dla niego mają...

— Mościa dobrodziejko! pani zdolności są znane a ja uważam tę chwilę za najprzyjemniejszą w życiu mojém, bo znalazłem sposobność zbliżenia się do tak wysoce cenionéj osoby....

— Jak to dobroć ludzi jednoczy....

Nie będę Cię, szanowny panie Redaktorze, dłużéj nudził; dodam więc tylko, żem został zaszczycony zapytaniem: kto mnie rodzi? — że jutro proszony jestem na familijny obiadek, przy którym po spełnieniu kieliszka starego wina mamy się dopiéro ostatecznie naradzić, jak rzeczoną przyobiecaną recenzyą zredagować i w których gazetach pozamieszczać.

Zamilczeć nie mogę, że po odjeździe najszanowniejszéj literatki przybyło jeszcze nieobliczone mnóstwo słabowitych; — alem zawczasu do innego zamknął się pokoju, a Pawełek, którego przytomności umysłu dosyć pochwalić nie mogę,

tłoczącym się gościom powiedział, żem do Ryczywoła wyjechał.

Nazwiesz mnie, panie, Mąchabeuszem, jeżeli w życiu mojém z kimkolwiek o mdłościach pomówię, jeżeli jednę literkę o mdłościach napiszę.

Z rzetelném poważaniem i t. d.

ŚRODEK,

ZAKOŃCZENIE, POCZĄTEK; ŚRODEK

I MALEŃKI DODATEK.

ŚRODEK,

ZAKOŃCZENIE, POCZĄTEK; ŚRODEK

I MALEŃKI DODATEK.

Rzecz dzieje się w Jagnięcéj Woli, we Florencyi i w Angielskim hotelu przy ulicy Wierzbowéj w Warszawie.

Szkic zostający w otwartéj nieprzyjaźni z rzeczywistością a z bujną wyobraźnią mocno spokrewniony; rzucony na papier w chwilach tkliwéj zadumy.

W marzeniach serca naszego częstokroć za granice rzeczywistości schodzimy.

Wyjątek z łyséj głowy chirurga.

ŚRODEK.

W szlacheckiéj wiosce Jagnięca Wola pomiędzy dwudziestu gospodarzami był najzasobniejszym Józef Kapusta; siedział bowiem na kmiecéj roli, miał 4 konie, 3 pary wołów, wysiewał 15 korcy oziminy i robił do dworu 12 dni w tydzień, dla tego też trzymał dwóch parobków, dwie

dziewki i dwóch średniaków. Z czworga dzieci utracił jednego syna na wojnie, drugiego posyłał do szkoły i wykierował go na księdza, trzeciego sposobił na pracowitego kmiecia a jedyną córeczkę Marychnę, na całą okolicę najraźniejszą i najkraśniejszą dziewczynę, jak oka w głowie dorna strzegł i dzień dnia albo ją sam do organisty na naukę czytania prowadzał albo téż z matką posyłał.

Marychna była gibka jak trzcina, biała jak lilia, na buziaku iście róża a z czarnych oczu jeno się iskry sypały, i jéj piękności żadna kobieta we wsi przygany nie dała a parobcy, chociaż mówili, że ma za drobne ręce do roboty, to przecież ani jednego nie było, któryby nie miał żądania pojąć Marychnę za żonę; a i dworscy ludzie i organista smalili do dziewczęcia cholewy, sam nawet pan ekonom, który w Jagnięcéj Woli panował, nie ukrywał się z tém, że mu się statecznie podobała Marychna. Gadali po wsi, że Józef Kapusta wykopał w lesie pieniądze, że widziano, jak razu jednego dwie niecki zapleśniałych talarów na słońcu wysuszał i że prócz tego ma kupę złotych pieniędzy; — ale to wszystko było bajką, bo cała gotowizna Kapusty składała się rzeczywiście tylko z 300 złp., które chował na wesele Marychny. Przędziwa szmat rozmai-

tych, żywego dobytku jako to: źrebców, jałoszek owiec, ba nawet i pszczół, było w dobréj mierze; ale pieniędzy Kapusta sprawiedliwie nie miał więcéj jak te 300 złp., gdyż wizerunku Chrystusa, w bursztynie wyrobionego, rękojeści od pałasza, który osobiście zdobył na hiszpańskim jenerale, i krzyża na niebieskiéj wstążeczce, — jakkolwiek były to niezmierne dla Józefa bogactwa, — do gotówki brzęczącéj nie można było policzyć. Czystość domostwa i cała gospodarka Józefa była na osobliwszy przykład w uściech wszystkich ludzi ze wsi, a i to jeszcze zwiększało poszanowanie Kapusty, że z wszelką kłótnią, jaka się we wsi przytrafiła, od lat wielu chodzili ludzie kwoli rozsądzenia nie do dworu, nie do pana podsędka, ale zawsze do Józefa Kapusty. Tak tedy zacny kmieć zażywał szczęścia i dziękował Bogu za wszystko dobre, — kiedy razu pewnego strugając na podwórku zęby do brony, usłyszał przy wrotach ujadanie psa Kruczka a i zaraz spostrzegł przed sobą nieznanego mu wcale parobka.

— Niech będzie pochwalony!...

— Na wieki wieków.

— A do kogoż?

— Do gospodarza Józefa Kapusty.

— A cóż mi powiecie?

— Chciołem od was usłyszeć, czybyście mnie nie przyjęli na służbę?....

— A zkądżeś to, chłopcze?....

— Jo z tamtéj strony Wisły, z Królewszczyzny.

— I cóż cię tu w nasze strony przygnało?

— U nas smutno pomiędzy lasami, latoś i głód; mój gospodarz zmarł na środo-pust, od ś. Wojciecha obsadzili nowego, bo gdowa nie mogli sobie dać rady; — więc jo poszedł tutaj szukać innéj służby; właśnie na wiosnę tędy po żelazo do fabryki jeżdżąc, widziałem Jagnięcą Wolę i udała mi się wasza okolica, a że u was pono nowiększe gospodarstwo, więc się i do was przepytałem, bo mi ludzie do was raili w tamtéj ejno wiosce.

— Jakżeż ci na imię?....

— Jantek Kozik.

— A umiesz ty dobrze orać, — potrafisz kosą?...

— Jo jesce nie wiele orywał ani tes z kosą nie chodził.

— Takeś wyrosł a roboty nie umiesz? To chyba ci iść do dworu na fornala.

— Nie chce jo za fornala, bo mnie właśnie trzeba na wsi służyć, żebym się wszelkiéj roboty

nauczył i wolę u was służyć ze strawy niżeli we dworze za nadroższe myto.

— To ze strawy będziesz służył, a któż ci da przyodziewek?

— Mnie sukman wystarczy na kilka roków, a i mom gotówką 100 talarów po stryju, co byli młynarzem; mnie tam pieniędzy nie żadna nagłość.

— Dobry z ciebie człek, kiedy, mając sto talarów, pracy nauczyć się chcesz. Jeżeli więc okazujesz wolę u mnie służyć, to cię, Antku, i wezmę; ale czy tylko masz kunotatkę od waszego wójta?

— Mom pozwoleństwo na stęplowym papierze.

— A kiedy tak to i zgoda; a jak będziesz ręku nie lenił a poduczysz się roboty, najdzie się i zapłata; bo chociaż, chłopaku, masz sto talarów, jednakże ja nie pragnę, abyś mi darmo pracował.

— O tém potém, panie gospodarzu; teraz pokazać mi tylko, jaka jest u was robota.

— Odpocznij sobie do jutra, boś przecie kilka mil zszedł a i trza ci się w ludziach i we wsi rozpatrzyć. Idźno do izby i powiedz gospodyni, żeby mi dała okrycie; zaprowadzę cię do sołtysa i do pana gminnego a potém poczęstuję cię,

Antku, półkwaterkiem, byś przecie nie mówił, żeśmy cię wodą ze studni do domu przyjęli.

W południe wrócił z Antkiem Kapusta do swojego domu i, zapowiedziawszy kobiecie, że Antek w służbie u nich zostanie, kazał mu usieść z inną czeladzią do spólnéj miski; a był na ten dzień galante groch z pęczakiem i szperką i gryczane klóski z kwaśném mlekiem i zdarny razowiec ze świeżego bochna.

— A cóż to, Antoni! że tak mało jadłeś, — ozwała się gospodyni Agnieszka, — nie smakowałyżby ci nasze sandomirskie klóski?...

— Kaj tam nie mają smakować! Tylko że jo jus takiéj tury, że nie wiele jodam, i proszę was, gospodyni, abyście na mnie nie zważali.

— Trudno nie zważać, kiedy mój Maryś więcéj od ciebie zjadła, a to przecie dziewucha nie chłopiec, a tyżeś jeszcze kilka mil dzisiaj ubieżał.

— Nie turbujta się o mnie, jus jo z głodu nie zamrę.

— Niech Pan Bóg i Przenajświętsza Matka bronią, żeby kto miał u nas z głodu zamrzyć. Maryś, schowajżeż dla Antka tych klósek, może się z niemi przed wieczorem pogodzi.

Zdziwił się nazajutrz Kapusta, gdy Antka do cepy postawił a chłopiec nawet snopka nasadzić nie umiał, i jak zaczął cepami onacznie machać, tak się też chudziaczek i bijokiem za ucho uderzył i krwią zalany upadł na ziemię; a że był mocno skaleczony, więc go aż trza było do chałupy zanieść i zrobić koło niego opatrzenie.

— Jak żyw jestem na świecie — mówił Wach parobek, — tak jesce nie widziałem, żeby taki człek jak Jantek, na wsi wyrosły, do tyla cepy w rękę wziąść nie umiał; a toć-że mu chyba pierwszy raz młócić.

— Znać go do cepy nie używali, — odrzekł Wojtek, a gospodarz Kapusta kiwnął głową i powiedział, że i on, jak ze żołnierki powrócił, trzy razy jednego dnia sierpem się zarznął.

Ze wszystkich najwięcéj była osmuconą Marychna, bo, przykładając Antkowi na ranę szmatkę z octem, słyszała, że mu aż serce z bólu pukało.

Upłynęły dwa tygodnie, Jantek już z izby wychodził i przyszło li do tego, że mu kazali sieczki dla koni urznąć; — ale czy kto zły urok rzucił na Jantka, czy pan Bóg zesłał na chłopca skaranie, dosyć że ledwo sieczkę rznąć zaczął, zaraz sobie rękę srodze okaleczył, bo bez mała dwóch palców nie stracił.

Gospodarz.

A jużeteż w nieszczęśliwą godzinę do naszéj wsi przyszedłeś. Jantku, ty chyba przez życie żadnéj roboty nie znałeś?

Gospodyni.

Olo Boga! lo Boga! cos tesz to za nieszczęście! A kajżeż tam i oczy miałeś, na palice kosę zakładać.

Gospodarz.

Chyba trza posłać do owczarza; niechaj żywokostu przyniesie, bożeś ty, chłopcze, aż do kości zakroił.

Marysia (drżąc cała z przerażenia).

Kochany rodzicu, owczarz nie pomoże; czy nie lepiéjby było, żebyście posłali po felczera do miasta.

Antek.

Przepraszam was, gospodarzu, że wam tyle narobiłem turbacyi; ale, jeżeliście łaskawi, to poślijcie po doktora; ja zapłacę doktorowi i za furmankę.

Gospodarz.

Cóż tam masz płacić, mój chłopcze; kiedy ci się u mnie przytrafiło nieszczęście, to już mój

kłopot być musi; — naści oto chleba z pajęczyną, przyłóż tymczasem, a ty, Marysiu, powiedz Wojtkowi, żeby założył siwego-konia i tę karą źrebicę i niechaj duchem jedzie po doktora, tylko okryjesz pstruchą siedzenie

Marysia pobiegła uskutecznić rozkaz ojca; Wojtek, długo nie bawiąc, założył konie, pojechał i w kilka godzin przywiózł doktora.

Spodziewać się należy, że doktor Jantka opatrzył i że rodzina poczciwego Kapusty szczere o Jantku miała staranie, skutkiem czego w 8 dni po tym drugim przypadku Jantek już większego bólu nie czuł a rany się zwolna goiły, i właśnie siedział przed domostwem i w głębokiém był pogrążony zamyśleniu, kiedy, z ogrodu wracając, zapytała go Marychna:

— Może-by już czas świeże dać przywinięcie; czy dzisiaj boli jeszcze?

— Boli ale już nie ręka.

— A cóż cię boli? czy głowa z dawniejszego?

— Marysiu! nie głowa ale serce mnie boli.

— To pewno ze zmartwienia, że cię taka biéda spotkała.

— Usiądź przy mnie, rozmawiaj ze mną, to mnie i serce boleć przestanie.

— Żeć-by moje rozmawianie pomódz ci mogło, to żebym cały dzień rozmawiała.

— Marysiu! z pewnością pomoże; tylko oto usiądź przy mnie a ja ci opowiem jednę historyjkę.

— I czemuż nie!

Marychna poblizko usiadła a Antek, patrząc się w modre oczy dziewczęcia, tak prawić począł:

— Z tamtéj strony Wisły jest jeden bogaty panicz.....

— A czy ładny panicz?

— Wystaw sobie, Marysiu, że do mnie podobny...

(Marychna się uśmiechnęła).

— Otóż ten panicz z młodu był chowany w wielkiém mieście i wcale nie znał wiejskiego ludu i dopiéro, gdy gdzieś w jakiéjś książce wyczytał, że lud nas jest poczciwy, że go szanować i kochać należy, zapragnął wtedy zblizka zobaczyć te ręce, z których ciężkiéj pracy się żywił, zapragnął być pomiędzy ludem, rozpatrzyć się w jego obliczu, zbadać źródło jego przywar i błędów, aby następnie mógł szczęśliwie wpłynąć na polepszenie losu przynajmniéj tych rodzin, które pod jego bezpośredniem zwierzchnictwem zostawać będą;—i w tym to celu poszedł pomiędzy lud wiejski, przyjął służbę u jednego z cnotliwych gospodarzy; —

— A czy ładny panicz?
— Wystaw sobie, Marysiu, że do mnie podobny...

ale tam mu się źle powodzi, i do tego jeszcze pokochał śliczną córkę tego gospodarza i teraz wielkiéj doznaje przykrości, bo nie wie, czy śliczna dziewczyna jest mu wzajemną, i nawet nie wie, jak sobie począć, aby jéj powiedzieć, że on ją kocha, bo, odsłaniając jéj swoję miłość, winienby zaraz wyznać, że nie jest chłopem ale bogatym paniczem, przez co mógłby cały swój zamiar zniweczyć, bo śliczna dziewczyna nie wierzyłaby bogatemu paniczowi. Cóż ty na to powiesz, Marysiu?

— Ja oto naprzód powiem, że was, Antoni, mam za jakiegoś człowieka co nie jest chłopem, bo chłop takby nie potrafił powiedzieć, jak wyście teraz mówili; a co do waszéj powiastki tom bardzo ciekawa jak się téż zakończy.

— Widzisz, Marysiu, koniec téj powiastki od ślicznéj dziewczyny zależy.—Jakżeż ty, Marysiu, radzisz téj ślicznéj dziewczynie?

— A cóż ja mam radzić; żeby mnie się taki panicz zalecał, tobym mu powiedziała, że nic nie wskóra, bo dla niego szlachcianki po dworach a nie wiejskie dziewuchy.

— Ale uważaj, Marysiu, że ta śliczna dziewucha nie wié, że to jest bogaty panicz.

— Kaj tam nie ma wiedzieć; zaraz to inny jest obyczaj u takiego panicza; czy wy, Antoni,

myślicie, że, jakżeście tylko do nas przyśli, jam nie poznała, że wy nie ze wsi?

— I za kogoż mnie tedy sądzisz?

— Ja was sądzę, albo ja wiem, za kogo; ja tylko wiem, że wy nie ze wsi, i już dawno mówiłam matuli, aby wam lepszego dawała jedzenia.

— A cóż twoja matka powiedziała na to?...

— Matula poszli do tatuli i opowiedziała to, co ja mówiłam.

— A cóż na to powiedział gospodarz, ojciec twój?...

— Długo nic nie powiedział, tylko mú wéj łzy w oczach stanęły, aże się matula wylękli; i kazał wam dawąć jeść, co najlepszego mamy w domu i mówił, żebyśwa nic do nikogo na wsi nie gadali; i tatulo mówili, że zły człek być nie możecie, bo macie czyste spojrzenie; tylko mówili, że, gdybyście kiedy mieli chciéć waszych pieniędzy i sukman, które macie we skrzynce matczynéj, aby wam zaraz wydać, nie czekając na tatulę, i żeby wam żadnéj nie czynić przeszkody, jakbyście od nas czy na dzień czy w nocy odejść chcieli; — a potém poszli tatulo do stryjów i cały wieczór radzili kiele stryjowskiego domostwa.

— Dawnoż to temu, Marysiu, jak twój ojciec kazał mi dawać co najlepszejsze jedzenie?

— Będzie chyba już przez jutro tydzień cały.

— I potém więcéj nic o mnie nie mówił?

— Nie słyszałam nic więcéj; tylko oto wczorajszéj nocy, jak karbowy mocno do okna zastukał, tatulo kazali mamuli, aby do was na stodołę chyżo pobiegli; ale jak się karbowy ozwał, że tylko mają dwojgiem posłać do sierpa, to kazali matuli już do was nie chodzić, jeno mówili, że trza nazajutrz Walka i Jagnę ze sierpami posłać.

— Twój ojciec jest bardzo poczciwy człowiek, może mu potrafię wdzięczność moję okazać; — ale teraz powiedz mi, Marysiu, gdybyś ty była na miejscu tamtéj ślicznéj dziewczyny, co się to do niéj przebrany panicz zalecał, czybyś ty go kochała, żeby on ci powiedział, że bez ciebie żyć nie może?

— No pierwéj, że ja nie śliczna, a potém bym mu powiedziała, że, chociabym ja go kochała, toby mu się na nic nie przydało, bo ja tylko wiejska dziewucha.

— Ale żeby on chciał się z tobą ożenić i rodziców twoich prosił o pozwolenie?

— A cóż, czyby rodzice pozwolili, abym ja szła za mąż za takiego człowieka, co nie umie żadnéj roboty?

— Wy-byście nie potrzebowali pracować bo ten panicz jest bardzo bogaty.

— Tatulo tam nie potrzebują bogatego zięcia.

— Więc on zostanie ubogim, nauczy się wszelkiéj roboty; czy będziesz go wtenczas kochała, Marysiu?...

— Przez żywego Boga! cóż wy, Antoni, gadacie, kogo ja mam kochać?

— Mnie, Marysiu, który ciebie pokochałem nad wszystkie bogactwa na ziemi, nad całe życie moje!

— A któż téż to słyszał takie powiadanie! A to żebyście wy mnie kochali, to-byście uprosili kogo na swaty,... i z resztą co ja tam gadam. Jeżeli wy, Antoni, jesteście tym bogatym paniczem, to się zlitujcie nademną i nie psujcie mi w głowie; tylko sobie idźcie, zkądżeście przyszli; boć że my wam nie chcieli nic złego uczynić...

— Marysiu, ja sprowadzę swatów, — ja będę prosił twoich rodziców, ty musisz być moją do śmierci!

Marysia zarumieniła się po oczy, zakryła twarz fartuszkiem i uciekła do chałupy, a Antek pozostał z sercem czystéj miłości i dumał, co mu daléj czynić wypada.

ZAKOŃCZENIE.

W trzy lata późniéj młoda, cudnéj urody jasnowłosa pani pisała przy palisandrowym stoliku w jednym z pałaców Florencyi.

Najukochańsi Rodzice!

Wczoraj odebrałem list pana Osmyckiego, przez was dyktowany, i po tysiąc razy całuję ręce i nogi wasze za tę rodzicielską pamięć o mnie, jaka się w każdym waszym wyrazie maluje. Ja z łaski Boga wraz z moim mężem zdrową jestem, maleńki Tadzio bardzo nam chorował na zęby, lecz niebezpieczeństwo już przeminęło.

Tęsknie do chwili oglądania was, tęsknię do téj ziemi, na któréj się urodziłam, tęsknię do wszystkiego, co mi przypomina nasze pola i łąki, i będę się zupełnie szczęśliwą mieniła, gdy

się znów ujrzę w waszych rodzicielskich objęciach.

Stryjom, księdzu bratu i Walentemu przysyłam najserdeczniejsze pozdrowienie.

Wasza do śmierci przywiązana córka

Marysia.

Florencya, 15 września 184..

Zwierzchni napis był następujący:

Do rąk
najukochańszego ojca mojego
JÓZEFA KAPUSTY

przez Wiedeń i Kraków.

w Jagnięcéj Woli.

POCZĄTEK.

W Angielskim hotelu pod Nr. 10 przy ulicy Wierzbowéj w Warszawie, dnia 8 maja, roku — co komu do tego — w niebieskim pokoju, przez miejscowego pisarza nazwanym *à la rococco*, na mahoniowéj sofce, w perskim tołubku, leżał Antoni... lat dwudziestu i dwóch i trzech miesięcy młodzieniec, bardzo przystojny i bardzo bo-

gaty, z dobrem sercem, z ukształceniem umysłowém spaczoném, ale nie doszczętnie krzywém, znany z dziwactw i z gwałtowności swojego charakteru; — przy stoliku naprzeciw sofki siedział w poręczowém krześle pan Stanisław... trzydziestu sześciu lat mężczyzna, w skromną ubrany czamarkę.

Antoni.

To jest wszystko marzeniem tylko, ale w życie nigdy nie wejdzie, bo historyzm naszéj szlachty jest świetny, a jakiż jest historyzm chłopków?

Stanisław.

Ciężka praca, częsta krzywda i ciche łzy.

Antoni.

Do pracy są stworzeni, a o krzywdzie i o łzach, wierz mi, Stasiu, to jest baśń romantyczna; zresztą pokaż mi chociaż jednego chłopa z wyższém, z szlachetniejszém uczuciem.

Stanisław.

Nie wiem, co rozumiesz pod wyrazami „wyższe i szlachetniejsze uczucie;“ nasz lud wiejski jest poczciwy, pracowity i szczerze kocha tę ziemię, na któréj się urodził; a potrzeba żyć po-

między niemi, potrzeba ich zblizka poznać, aby ich cnoty a więc wyższe i szlachetniejsze uczucia ocenić; — i gdybyś w chacie jednego z poczciwych kmieci twoich kilka miesięcy przepędził, założę się z tobą o mój cały majątek, że uszanował i ukochałbyś ten lud wiejski, o którym mówisz z taką lekkomyślnością.

Antoni.

Wiesz co, Stasiu, o majątek nie mogę się zakładać, bo jestem zbyt pewny wygranéj; — ale możemy zrobić zakład o 100 butelek szampana.

Stanisław.

Czy nie lepiéj o sto czerwonych złotych dla nieszczęśliwych.

Antoni.

Zgoda! zakładam się o sto dukatów, że będę przez cały miesiąc pomiędzy tym tyle przez ciebie miłowanym i chwalonym ludem a zdania mojego nie zmienię.

Stanisław.

Ufam, że zmienionego sądu nie zataisz, i zakład przyjmuję.

Antoni.

Otóż za tydzień przyjadę do ciebie i w jednéj z twoich wiosek przebrany za parobka postaram

się o służbę u porządniejszego kmiecia. Wiesz, że to będzie zabawnie; nawet ciekawy jestem tego wrażenia, jakie na mnie uczyni obcowanie z tymi ludźmi.

Stanisław.

Trzymam cię za słowo i naprzód się cieszę z wygranéj.

Dalszą rozmowę przerwał lokaj, przynosząc bilet na krzesło do Rozmaitości; Antoni podniósł się z leżenia i kazał fryzyera zawołać. Stanisław poszedł do jednego ze swoich szkólnych przyjaciół, do Gucia, aby mu uczyniony co dopiéro zakład opowiedzieć.

ŚRODEK.

Noc ciepła, czerwcowa, wonią kwiatów zapełniała powietrze; spokojna przyroda zdawała się z Bogiem rozmawiać i tylko oddalony turkot młyńskiego koła, uroczystą mięszał ciszę gdy Antoni, mniemany parobek z Jagnięcéj Woli, już od godziny opodal wioski stojąc pod krzyżem na rozstajnych drogach, przy świetle księżyca wpatrywał się w wizerunek Chrystusa Pana

i wspomniał owę treść zakonu: „*Kochaj bliźniego twego jak siebie samego,*“ i przywiódł sobie na pamięć, ile to milionów ludzi codziennie te święte powtarza wyrazy i jak wszystkie sprawy ziemskie są w zupełnéj sprzeczności z powtarzaniem tych świętych wyrazów; i dusza jego przenikniona promieniem Boskiéj mądrości, uroczystą złożyła przysięgę, że nie tylko słowy ale czynem, całém życiem swojém, będzie kochał bliźniego swego jak siebie samego, że umiłuje lud pracowity, że się z nim najściślejszemi węzłami zjednoczy. W tęż chwilę przyleciał po rosie cichy odgłos biegnącego konia i nie zadługo Stanisław na karym wierzchowcu stanął przed czekającym na niego Antonim. Zeskoczył jeździec na ziemię i dwaj przyjaciele uścisnęli się serdecznie.

— A cóż, kochany parobku, jakżeż ci się powodzi? Wygrana z naszego zakładu ku któréj kieruje się stronie?

— Obydwaj wygraliśmy najzupełniéj; ty 100 cz. zł. dla nieszczęśliwych, ja serce pięknéj dziewczyny.

— Jakiéj dziewczyny?

— Córki mojego gospodarza, Józefa Kapusty.

Stanisław nagle rękę swoję z rąk Antoniego usunął i wyrzekł z osmuceniem:

— Nie spodziewałem się, abyś moje poczciwe przedsięwzięcie występną lekkomyślnością splamić zechciał!

— Więc pojąć za żonę cnotliwą córkę poczciwego człowieka, występną lekkomyślnością nazywasz?

— Antoni! ty marzysz...

— A ty mojego serca nigdy nie znałeś.

— Miałżebyś zerwać więzy przesądów i ślepoty.

— Już zerwałem. Przed chwilą dobrowolną Bogu złożyłem przysięgę, że kochać będę bliźniego jak siebie samego, że lud pracowity całem sercem umiłuję, że się z tym ludem najściślejszemi węzłami połączę.

— Antoni!...

Z tym wyrazem rzucił się Stanisław na piersi przyjaciela i łza uwielbienia po męzkiém spłynęła licu.

— Ale ja ciebie proszę na swaty.

— Całą duszą moją jestem na twoje rozkazy.

— Ale zaraz jutro, albowiem syn sołtysa z Jagodny, już osiadły i zamożny gospodarz, pojutrze swoich swatów przysyła.

— Czy mu sprzyja Marysia?

Przeciwnie, wraz z swoim ojcem czują wstręt

do niego, i wiesz z jak szlachetnéj pobudki? Oto słyszała, że niegdyś ukrywał się przed poborem wojskowym, oświadczyła więc że nigdy żoną tchórza nie będzie.

— Więc nie potrzebujesz się obawiać.

— Miłość to tylko moja jest trwożliwą; nadto chciałbym, aby, gdy się pojutrze sołtysiak zgłosi, rodzice Marysi mogli już bez narażenia się na nieprzyjaźń odpowiedzieć „za późno.“

— Więc jutro, jutro z pewnością przyjadę.

— Przez całe życie w mém sercu wdzięczność dla ciebie zachowam.

— Antoni! twoim wyborem szczęśliwszy jestem nad wyrażenie. Ale objaśnij mnie, czyś wszystkie następstwa dobrze rozważył?

— Dusza i serce téj dziewczyny są przeczyste, a więc węgielna podstawa mojego szczęścia jest pewną; rozjaśnienia mysłowego łatwo dokonam; niezbędnych wiadomości, kochając mnie, prędko się nauczy; pozostanie może brak świetnéj ogłady, ale dla mnie milsza rdza poczciwego serca nad połysk umiejętnie ukrytéj chciwości, obłudy i fałszu.

— Bóg z tobą, drogi Antosiu! jutro o godzinie drugiéj z południa przybędę.

— To za rychło; cała rodzina jest przy pracy, wieś będzie bezludną, a ja chcę licznych

świadków mojego szczęścia; przybądź więc w godzinę po zachodzie słońca.

— Zgoda i na to, szczęśliwy kochanku.

— Czyliż i ty, mój nauczycielu, nie mógłbyś być równie szczęśliwym kochankiem?

— O! gdyby serce moje pośród wiejskich dziewcząt wybór uczyniło, z jakąż radością uświęciłaby taką miłość dusza moja!

— Przyznaj więc, że uczeń wyprzedził mistrza.

— Przez szczęśliwy przypadek.

— Masz słuszność, drogi Stasiu! Tobie rzeczywiście winien jestem zaród prawdziwie chrześciańskiéj myśli.

Dzień był pogodny, jasny, słońce potokiém upału oblało ziemię; lud wiejski rozproszył się po ogrodach, łąkach i polach, niemowlęta i zgrzybiali tylko starcy pozostali w siole, a z niemi i Jantek Kozik, któremu niezagojona jeszcze rana nie należała do wspólnéj pracy należéć. W południe tę jednę miał pociechę, że mu gospodyni Jagniszka pozwoliła zanieść dwojaki na odległe łąki pod las, gdzie Maryś z ojcem i z czeladzią około siana robili.

— A cóż, Antoni, — mówił ojciec Marysi; gospodarz Kapusta, gdy pod cieniem drzewa do obiadu zasiedli, — nie wybierasz ty się opuścić

naszéj wioski, gdzie cię taka przygoda trafiła; może tobie i czas będzie ruszyć w dalsze strony.

— Czy mnie, gospodarzu, chcecie odganiać za to, żem wasz chléb przez sześć tygodni na darmo jadał? A toć że ja wam ten ciężar rychle wywdzięczę, a Bóg świadkiem, żeście mnie cięższéj dotknąć nie mogli, jak że mnie dzisiaj odpychacie od siebie, dzisiaj, kiedy ja was mam prosić o największą łaskę na świecie.

— Nie wyganiam ja cię, Antoni, ani cię od siebie odpycham, tylko tak oto myślałem, że może ci tu u nas dłużéj nie miło; i tak jeszcze z innéj oto przyczyny mówiłem te słowa, ale nie żebym ci kawałka chléba skąpił; — daje się to, Bóg wié komu, a za cóżbym swojemu człowiekowi ze wsi żałować miał. Ja tylko sobie co innego myślałem; nie miéjże, miły chłopcze, żadnéj do mnie żałości, siedź przy nas dopóty, dopoki ci trzeba, jak jeno żywnie chcesz.

— Bóg wam zapłać, gospodarzu, tém powiedzeniem osuszyliście łzy mojego serca.

— I o cóż takiego będziesz mnie dzisiaj prosił?... Maryś! idźno z Walkiem i z Jagną i skulnijcie tam wejno ten szmatek siana nad wodą, bo się niby na wiatr zanosi, żeby zaś nie zdmuchnęło na rzekę.

Maryś, rozumiejąc ojcowską wolę, zawołała na Walka i na Jagnę, i wszyscy troje odeszli ku brzegowi rzeki, która gromadzką od dworskiéj przedzielała łąki.

— No miły człowieku, bo i nie wiem, jakie ci dać miano, czegoż to chcesz żądać odemnie?

— Ja sam tego powiedzieć nie umiem, — odrzekł zalękniony Jantek, — wstrzymajcie się z dalszém zapytaniem do wieczora, może wam kto powie za mnie.

— Hm, ja to już dawno miarkuję; ale przecież ty po to do wsi nie przyszedł, a zresztą jesteś człek wędrowny i nie możesz żądać, abym ja, nieświadom ciebie, mógł się ku twemu żądaniu skłonić.

— A gdybyście mnie byli dobrze świadom?

— Sercem mojém to ja cię świadom, ale to nie dosyć, trzeba być i we wsi swojakiem.

— Gospodarzu! wam to wszystko opowiedzą wieczorem.

— A niechżeż opowiedzą, posłyszymy, co oni tam opowiedzą. Jestem ja stary żołnierz; nie z jednego pieca chléb jadał, toć że ja już i trafię do ładu z tém opowiadaniem. — Maryś! Maryś! niby się nie ma na wiatr, pójdźcie skończyć jedzenie, po południu wszystko razem skulniemy.

Powróciła Maryś z Jagną i z Walkiem. Jagna z Walkiem poczęli z bwojaków kapuśniak z klóskami kotłować, aż im kluski w gardle cierkały, tylko Maryś ani łyżki ruszyła, patrząc się to na rodzica, to na Antka, jak gdyby chciała treść ich zamilkłéj rozmowy odgadnąć.

— Czemuż ty, Marysiu, nie jesz kapuśniaku? Czy, rybeczko, boisz się, żeby ci się gęba nie skurczyła?

A od czego-by mi się miała skurczyć gęba? Czy mnie pierwszy raz jadać kapuśniak, jeno że dzisiaj nie mam woli do jedzenia.

— A słyszałaś ty, moja dziewucho, jak ksiądz proboszcz z Mylnego, na odpuście w Jagodni mówił na kazaniu, że Ewa za ciekawość z raju wygnaną była; i tyże także chcesz być ciekawą?

Walek (*półgębkiem*).

— Któroż tes na świecie białogłówka nie była kiedy ciekawa?

Jagna.

— Także i ty, Walku, będziesz gadać! Wéj go jaki mi do gadania.

Antek.

— Ciekawość w dobrym zamiarze nie jest błędem, brak ciekawości jest dowodem odrętwienia umysłowego...

Kapusta zmarszczył brwi i oczami wskazał Antoniemu na Walka i Jagnę. Marysia się zarumieniła, Walek i Jagna rozdziawili gębę, Antoni spostrzegł się w zapomnieniu i, prostując złe, dodał: — To ze takie słowa mówił do mnie jeden szlachcic, kiedy z nim przewoziłem się przez Wisłę, a on mnie pytał, czy jo nie ciekawy, dokąd jedziemy, a ja mu odrzekł, żem nieciekawy.

No, no, idź mi teraz, Jantku, na młyn, żeby się z mlewem spieszyli, a ty, Maryś, odniesiesz dwojaki i powiesz matce, żebyście oprzątnęli dom, bo dzisiajszego wieczora mają być ludzie u nas, możecie się i ogarnąć.

Jantek dziękczynnie spojrzał w oczy gospodarza, Jagna spojrzała na Walka, Walek Jagnę, a modrooka Marysia spojrzała ku modrym obłokom i dreszcz przebiegł jéj serce i z duszy szybko myśl do Boga rzuciła.

Jantek.

— Czyli, gospodarzu, mam do wieczora na młynie pozostać?

Gospodarz.

— Dyć tam Walentowa pilnuje, możesz na zachód słońca powrócić.

Jantek udał się ścieżką przez las, Maryś bróżdą szła ku wygonowi, który do wsi prowadził.

„Boże! ach Boże! cóż też to za człowiek ten Antoni, którego moje serce tak prędce umiłowało! Chyba go rodzic znać musi, kiedy kazał, abym się z matką ogarnęła i abyśmy dom oprzątnęły“ takie uwagi zajmowały głowę Marysi, kiedy do wsi zdążała, gdy naraz z poza góry Jantek drogę jéj zabieżał i za rękę uchwycił.

— A cóż to, tędy droga do młyna?...

— Powiedz mi, którędy droga do twojego serca, Maryo! Dzisiaj moi przyjaciele będą twoich rodziców, o twoję rękę dla mnie prosili,— nieprawdaż, Maryo, że jak rodzice zezwolą, ty mi nie odmówisz swéj ręki?

— Dlaczegóż mnie, Antoni, nazywacie po imieniu świętéj? Toć-że ja jestem Marysia a nie Marya, — i zkądże wam przyszło chcieć mnie za żonę?

— Bo ja ciebie kocham nad moje życie, nad świat cały, kocham cię miłością najwyższą na ziemi,—kochać cię będę do grobu.

— A kto wy taki, co mnie kochacie?

— Twój Antoni, twój do śmierci wierny Antoni.

— I rodzic wie już to, kto wy taki?...

Komornica Jędrzejka.

— Dowie się dziś wieczór i zezwoli z pewnością na nasze połączenie; od ciebie tylko zależeć będzie, abyś mnie uczyniła najszczęśliwszym z ludzi.

— Ja wam ani krzywa ani wroga nie jestem, a jeśli rodzic będą wiedzieli, co wy za jeden a zezwolą na to, to ja....

Marysia umilkła a Antoni, rzucając się przed nią na kolana, z namiętném uniesieniem zawołał: „dokończ, o dokończ, Marysiu!...“

W tę chwilę ukazała się z poza krzaków stara kobiéta z pęczkiem suchych gałęzi na grzbiecie; była to komornica Jędrzejka, na całą Jagnięcą Wolę największa pleciucha, Herod-baba na młode dziewczęta.

— Najświętsze drzewo Krzyża Pańskiego, a cóż jo téż to widziała! To tako jest cnotliwość córki Józwowéj, że aże przed nią jakiś obleciświat, co każdemu we wsi jest obcy, wéj oto klęczy jak przed cudownym obrazem, a ona mu tego nie zbara ani złego słowa nie rzeknie! O będzie się matuś cieszyli, że taką wychowała córkę, co to jak Magda ze żołnierzami w świat poszła, albo jak Mateuszowa kobiéta; a nie masz-że ty, dziewucho, wstydu w oczach, że jeszcze na mnie patrzysz! A ty wędrowny chłopie, czego się tak na mnię gapisz, jakbyś mnie pożryć chciał. Po-

czekajta! będą Józwowie zaraz o tém wiedzieli; niedarmo to ludzie mówili, że to z tym wędrownikiem, co żadnéj roboty nie umie, dobrze być nie może i że on jeszcze jakie złe na wieś sprowadzi; — a czyże to nie złe, kiedy on przed młodą z naszéj wsi dziewuchą klęczy na polu jak diabeł przed duszą, co ją chce porwać do piekła.

— Milcz, głupia kobiéto, bo nie wiesz, co mówisz.

— Ejno głupia, widzisz go drągala! To ja głupia, że idę z gałęziami przez pole i że ich natrafiłam, jak on klęczy i przysięga się na wszystkie biesy, a ona słucha go jak owca i na niego spogląda kiejby jaka grzywaczka na grzywacza, aże jéj się oczy zaczerwieniły.

— Milcz, powtarzam ci, sprosna kobiéto, albo cię skarcę natychmiast.

— Gwałtu! rety! ratujta ludzie! ratujta, kto Boga ma w sercu ratujta! a toć że ten człowiek zabić mnie chce, gwałtu! ratujta!

Marysia.

Przez miłość Boską, Jędrzejowa, nie róbcie mi takiego wstydu! moja miła Jędrzejowa, tylko nie krzyczcie! Już wam podaruję najnowszą chustę albo waszemu dziewczęciu dam wstążek do włosów....

Jędrzejowa.

— Gwałtu, ratujta! ludzie ratujta! — to ona mi chce dać chustę za to, że jéj kochanek zabić mnie chcioł. Gwałtu!

Zniecierpliwiony Antoni przyskoczył i połą od sukmany zatknął Jędrzejki jadaczkę, — gdy ode wsi pokazał się na koniu ekonom z charapem, a posłyszawszy hałas i widząc szamotanie się parobka z kobiétą, w galop na miejsce kłótni przyleciał.

Ekonom.

— Cóż to, szelmo! chamie! masz zą racyą napastować starą kobiétę! — tych słów domawiając skropił grubym charapem raz, drugi i trzeci hrabicza Antoniego..... — przez plecy, przez twarz i przez głowę.

Antoni bez namysłu rzucił się na ekonoma, zwalił go z konia, w jednéj chwili wyrwał mu z ręki charapnik i w groznéj stanął postawie.

Ekonom.

— Chamie! szelmo!.... *obracając się ku wsi* — Franciszku! Franciszku! Ignacy! Ignacy! bywaj! bywaj! a bywajżeż zaraz!....

Marysia.

— Antoni! jeżeli ci Bóg miły, uciekaj, Antoni! uciekaj, bo on cię zakatuje.

Ekonom.

— Poczekaj i ty czyżyku, — dam ja ci namawiać go do ucieczki; to pewnie was Jędrzejka zeszła na jakiéj....

Antoni.

— Milcz, potworze, albo ci zęby wybiję.

Ekonom.

— Takiś ty to ptaszek?.... *odwracając się ku biegnącym na pomoc włodarzom*, — Bywaj! bywaj!

Marysia.

— Na rany Zbawiciela Chrystusa zaklinam cię, Antoni, mój ty miły, mój drogi Antoni, uciekaj, dopóki oni nie nadlecą.

Antoni.

— Maryo! uspokój się, mnie włos z głowy nie spadnie.

Ekonom.

— Ja ci, szelmo, wszystkie kudły ze łba powyrywam; dam ja ci rzucać się na ekonomską osobę.

Nadbiegli włodarze i; na rozkaz ekonoma żylastemi rękoma uchwyciwszy Antoniego za kołnierz, już go powalili na ziemię i kolanami

przygnietli i już ekonomski bizun miał mu żebra przeliczyć, — gdy Marysia, rzucając się pomiędzy nich, okropny raz otrzymała przez głowę i krwią zalana straszliwy krzyk wydała. Krew dziewczyny padła na ręce Antoniego. Częstokroć siła rozpaczy wszelką wiarę przechodzi, Antoni, ciężarem dwóch olbrzymich chłopów gnieciony, wyrywa się z pod ich kolan i ręku, zrywa się z siłą olbrzyma, w dwie przeciwne strony jak dwie piłki włodarzy rozrzuca i pięścią w pierś ekonoma uderza — i batożnik z jękiem upada na ziemię.

— Takie to więc są wasze sądy i wyroki na lud pracy i nieskażonéj cnoty! Zbrodniarzu! jam blizkim krewnym twojego pana, jam jest hrabią, dziedzicem piętnastu włości. Moję krzywdę przebaczam ci najzupełniéj, ale za tę krew, którą przelałeś z głowy mojéj narzeczonéj, kajdanami ręce twoje okuję. — Czy rozumiesz, że włościanin, który urosł pod waszym batogiem, mógłby się do ciebie mową do moich słów podobną odzywać? Czy nigdy z ust twojego pana nie słyszałeś nazwiska hrabiego .....?...

Zębami ze strachu szczękając ekonom, podniósłszy się ze ziemi, stał jak wryty i ani jednego słowa nie mógł przemówić; — Jędrzejka i włodarze zaniemieli także.

— Maryo! droga Maryo! ty przyszła żono moja! czy wielki ból czujesz?

— Jaśnie wielmożny paniczku, o! ja żadnego bólu nie czuję na głowie, — ale tu, tu w środku mnie boli,—i dziewczyna wskazała na serce i rzewnie płakać poczęła.

Prowadzona przez hrabiego Marysia po krótce ujrzała się w objęciach matki, która, przelękniona widokiem zranionéj jedynéj córki swojéj, do Boga tylko o pomoc wołać była zdolną.

Na wieść o tém nadzwyczajném zdarzeniu zbiegła się wieś cała; posłano konnego po ojca Marysi. Pędem strzały stary żołnierz na spienionym siwku przyleciał.

W krótkich wyrazach usłyszał Kapusta z ust Antoniego wszystkie szczegóły objaśniające a dopiero gdy się zapewnił, że rana Marysi niebezpieczną nie jest, tak się do pana hrabiego odezwał:

— Mówisz, panie, że się z córką moją jedyną za naszém rodzicielskiém pozwoleństwem żenić chcesz a nie myślisz, panie, o tém, że twoja jaśnie wielmożna krewność nie pozwoli na taki twój, panie, ożenek; a gdybyś, panie, i bez pozwoleństwa krewności chciał pojąć naszę jedyną córkę za żonę, czy, panie, myślisz, żebyś ją szczęśliwą uczynił? A jakżeż-by to być mogło, gdy, panie, twoi krewni wytykaliby ją palcami, że

ona jest chłopka;—a moja krew jest znów za dobra, aby ją palcami wytykać mieli; — bo ja jestem w wierze katolickiéj tak jak i wy, panowie, zrodzony i wzrosły, przez całe życie podłego uczynku ani razu nie popełniłem; kiej trza było, poszedłem z drugimi do Włochów, do Hiszpanii i wszędzie, gdzie nasz Napoleon rozkazał a starsi zakomenderowali; — i te trzy rany, które otrzymałem w piersi i przez głowę, to mnie lepiéj uszanować każą, aniżelibym miał dać jedyną córkę moję na jakieś pańskie wytykanie palcami.

— Józefie! przyszły teściu mój! przedwiecznego Boga i tych wszystkich obecnych tu ludzi biorę na świadki, że nigdy nie dozwolę, aby żonie mojéj krzywda się stać miała, aby ją ktokolwiek bezkarnie palcami wytykał. Jagnięca Wola od dzisiaj jeszcze do mnie należeć będzie; jutro sądownie oddam tę całą wieś dla was wszystkich gospodarzy na równy podział własności, bez żadnego czynszu; przydzielę wam lasu, dodam łąk i pastwisk od granicy Jagodnéj, z córką waszą zamieszkam o siedm mil tylko, w Sączynie, w dobrach moich....

Mateusz gospodarz.

A kaj ja téż oczy zadziałem! (*chwytając za kolana hrabiego*). A toć-że pod jaśnie wielmożnym

panem jest moja siostra, co to jest za Wojtkiem Pietruszką na Mysłowie. O Przenajświętszy Jezu!— Józefie! adyć schwyćcie jaśnie wielmożnego pana hrabiego za kolana i kiedy żąda waszéj córki za żonę, a dajtażeż, dajta! dyć to Sączyn, Kobylę Oko, Mysłów, Gąbino, Paprochy, Drwalewo, Zęby Wielkie i Zęby Małe, Wilczy Kierz, Sadów i pięć wiosek zarobnych, to wszystko na cztery mile w około do pana hrabiego należy.

Józef Kapusta.

— Kumie! gadacie tak, jak rozumiecie; dla Jantka parobka, żeby się roboty nauczył a był poczciwy i Bogu i ludziom usłużny, najchętniéj dałbym córkę moję, bo, co prawda to nie grzech, dawno zmiarkowałem, że się mają k'sobie; tylko mi w myśli pofolgować nie mogło, że to nie jest człek ze wsi, i oto poprawdzie nie wiedziałem, kto jest taki; ale żebym ja miał teraz łakomić się na jakowe bogactwa, niech ona lepiéj pójdzie za sołtysiaka do Jagodnéj, wszakżeż na jutro swaty przyjść mają.

Marysia.

— Ojcowie! ja tam nie chcę sołtysiaka.

Matka Agnieszka.

— A kogóżeż będziesz chciéć?....

Marysia, spoglądając ku Antkowi, łzami się zalała.

Hrabia Antoni.

W imię Boga przysięgam wam, ojcze i matko Maryi, ja córkę waszą muszę miéć za żonę, albo śmierć moja na waszém ciężyć będzie sumieniu.

Szczepan (Sołtys z Jagnięcéj Woli).

Kumie! tu żadnéj innéj rady nie ma, tylko pokłonić się panu a jaśnie wielmożny pan oto niechaj się pokłoni rodzicom swojéj przyszłéj żony i zaręczenie zrobimy, boć oględziny i zmówiny niepotrzebne.

Gdy dziedzic Jagnięcéj Woli, Stanisław, próg chałupy Józefa Kapusty przestąpił, z tkliwą i rzewną radością przez tłum wiejskiego ludu zobaczył, że Józef i Agnieszka łączą ręce klęczących przed niemi kochanków, Antoniego i Maryi.

MALEŃKI DODATEK.

Ślub podług kościelnego obrządku odbył się w dniu drugim sierpnia tegoż samego roku; we-

selisko, jakiego nikaj nie widziano, trwało u Kapustów przez cały tydzień; potarzyn u stryjów Marysi było jeszcze trzy dni; na przenosinach w Sączynie toże już i piętów do tańcowania nie starczyło dziewuchom; szlachcianek jedno nie było, bo się pono ogniście sierdziły, że im takiego bogatego kawalera wej oto wiejska dziewucha wzięła z przed nosa;— *cóż kiedy piekniejszéj jak Marysia Kapusty nikt nigdy przez życie nie widział* i już taką dla niéj dolę dał Ojciec Niebieski, za co niech mu będzie chwała, bo i jo podjadłem na tém weselu; a i napitku nikt nie żałował, a i okoliczni biedni ludziska mieli nie tylko długiego czasu ochotę ale i otrzymali od pana hrabiego wielką zapomogę, nie rzeknąc gospodarzy z Jagnięcéj Woli, bo z nich każdemu, jeszcze przed ślubem Marysi wydzielił *jomentra* po sto morgów ziemi co nolepszéj.

— A cóż się téż stało z ekonomem?...

— Dali mu sto talarów i dwie krowy i wygnali do miasta. Pono poganin na spółkę z Herszkiem szynkuje, kiele kołodzieja Żurawy, zaroz za cyrulikiem naprzeciw Bernardyńskiego kościoła, dyć w Pinkusowém domostwie, co je to łońskiego roku Kiermazińskiemu ze sądu sprz edali.

— A Jędrzejka jest jeszcze w Jagnięcéj Woli?

— A kaj ma być?... Maryś uprosili, że gdowie przydzielił *jomentra* kawał ogroda, — boć że Maryś na nikim nie pomstuje i chciałaby każdemu nieba przyczynić.

Niechżeż jéj téż Ojciec Niebieski wszystkim dobrém nagrodzi.

GILSOMINA I REMIGIUSZ.

WIERZYTELNY ODPIS Z ORYGINALNYCH LISTÓW

GILSOMINA I REMIGIUSZ.

WIERZYTELNY ODPIS Z ORYGINALNYCH LISTÓW.

Czcigodny i najszanowniejszy Auguście!

Od siedmiu miesięcy nie zgłaszałem się do ciebie, bo się obawiał twojéj nagany, twoich zarzutów; dzisiaj, u wrót wieczności, odzywam się do twojego serca; — na twojém łonie złożę całe brzemię najokropniejszych cierpień, wyleję zdroje czarnéj rozpaczy, i, zanim stargam słabą ziemskiego żywota nić, od ciebie jeszcze pomocy zażądam.

Już lekki poszmer jutrzenki na rozległym błękicie jasny zapowiada dzień..... jam oka nie zmrużył.... przedemną narzędzie śmierci... w sercu żrzący i palący ogień, w duszy lód, w głowie szum!.... Sto razy drżąca ręka ujęła pióro, aby się z tobą pożegnać.... sto razy bezsilna dłoń odrzuciła tę jedyną nad grobem pociechę!...

Auguście! umieram!.... samobójczy dotyka mnie cios!.. zimne żelazo uderzy w pierś... mar-

twe zwłoki obleje krew!.. Auguście! ciemne widma jawią się przed memi oczyma.... moje jestestwo grobowy otoczył kir... kwiat mojéj młodości za chwilę snem wiecznym legnie na mogile wspomnień i nadziei.... Ty jeden możesz mnie przywołać do życia, słuchaj, w jaki sposób, opowiem.

Przed dwoma tygodniami przybyłem do N. z stałym zamiarem porzucenia mych wad i błędów;—postanowiłem gnuśną bezczynność zamienić w życie pracy i pożytku dla dobra ludzkości!

Rozmaite przedsięwzięcia snuły się przez umysł i po długiéj rozwadze zamierzyłem zostać aptekarzem, bo na téj drodze bezpośredniéj lekarstwami zdawało mi się, że najskuteczniéj wpłynę na ulżenie cierpień ludzkości. Przesądy urodzenia odrzuciłem z odwagą i począłem czytać botanikę, chemią; — już umiałem rozróżnić kilkadziesiąt roślin, już poznałem, co jest kwasoród, wiadomości moje olbrzymim szły naprzód krokiem, gdy w dzień świąteczny dla odpoczynku starganym siłom, bez wyraźnego namysłu, udałem się na widowisko sztucznych jeźdźców.

Auguście! nie żądaj odemnie wszystkich tajemnic;—powiem ci jedném słowem: ja bez Gilsominy nie mogę żyć! Ona jest panią moich myśli, mojego uczucia, mojego jestestwa!.. i ona chce być moją.... moją Gilsominą na zawsze!....

Słodki hymen miał nas zawczoraj nierozerwanym zespolić węzłem: obszerne pole szczęśliwéj przyszłości wyciągało ku nam ramiona, rozkosz wabiła nas swojém tchnieniem, miłość w radosną klasnęła dłoń, powietrze napełniło się dla nas różanym obłokiem nadziei, wszystko, ach wszystko! ach wszystko zwiastowało zbawienie!... kiedy srogi Rangiféro zażądał niespodzianie od Gilsominy dwóch tysięcy franków za uczyniony mu zawód i tylko po odebraniu téj summy na rozwiązanie jéj kontraktu i na nasze zaślubienie zezwolić chce. — Moja gotowizna składa się z siedmiuset franków; Gilsomina w nadmiarze swoich uczuć ofiarowała wszystkie swoje kosztowności, ale niestety! pomimo, że je ma w upominku od książąt i hrabiów, nie są szczerozłote i zaledwie czterysta franków dostać za nie możemy. Brakuje nam więc dziewięćset franków! Téj summy od Ciebie, Auguście, żądam! i jeżeli mi jéj po upływie piętnastu dni nie przyślesz,—duch mój za zbrodnią samobójstwa na Tobie mścić się, cień mój Ciebie ścigać będzie! Jutro odchodzi poczta, za dni pięć pismo moje w twoich będzie rękach; cztery dni pozostaną dla Ciebie do zgromadzenia żądanéj przezemnie summy, gdybyś jéj gotówką w domu nie miał; jeden dzień zostawiam Ci na nieprzewidziane wypadki, pięć dni starczy na odwrotną

pocztę, więc piętnastego dnia przed zachodem słońca mógłbym być w posiadaniu dziewięciuset franków! ślub nasz mógłby chociaż wieczorem jeszcze nastąpić — Gilsomina byłaby żoną Remigiusza!—Remigiusz byłby mężem Gilsominy!

Auguście! w twoje ręce złożyłem śmierć i życie dwojga kochanków! — Drżyj! jeżeli zdradzisz moje zaufanie! — Na kolanach Gilsomina i ja razem błagamy Cię w imię naszéj miłości—nie rozłączaj nas! nie dozwól, abym krwią moją zbroczył twoje sumienie!

Auguście! ja Tobie zwrócę tę nędzną garść złota, zwrócę Ci w najprędszym czasie — każdéj chwili kiedy zażądasz, gdyby i jutro i dzisiaj jeszcze,—tylko mnie uratuj od samobójczéj śmierci, przed którą lodowacieję z trwogi i rozpaczy.

Nie wątpię, że serce twoje zrozumie okropność mojego położenia, że twoja dusza szlachetna pośpieszy na ratunek twojego szkólnego przyjaciela, a nim jest szczerze Cię kochający

Remigiusz.

dnia 23 sierpnia 1841 r.

P. S. Gilsomina przesyła Ci maleńki splot włosów swoich, — naszemu wybawcy pozwala je nosić na sercu.

Tynica pod Radomiem 28 sierpnia 1840 r.

Kochany Remigiuszu!

Za list twój z dnia 23—8—40 zapłaciłem dzisiaj, w dniu moich imienin, złp. 8 g. 22. Zachmurzyłeś mi wesołą chwilę, gdyż szczególniéj drażliwy jestem na lada jakie wydatki.

Boleję nad twojém położeniem,—przeczuwam, że bez Gilsominy żyć nie możesz;—poznaję to nawet z jéj pięknych włosów, które niepotrzebnie w tak znacznéj ilości załączyć raczyłeś, zachowam je na pamiątkę; — ale cóż powiesz na to, że Ci żądanych dziewięciuset franków nie przysyłam!...

Truchleję na samą myśl, że Ciebie dotknie samobójczy cios,—że zwłoki twoje, kochany Remigiuszu, obleje krew!... Lecz nie ma rady! Kiedy Ci tak marnie ginąć potrzeba, giń ośle! —ja Cię ratowcć nie mam sposobu. Czekam na twojego zapowiedzianego ducha, któren mi zapewne powie, co się téż obecnie w piekle nowego stało, Gilsomina gdyby się po twojéj śmierci pocieszyć nie mogła, niechaj przyjedzie do Warszawy, — znajdzie i tutaj wielbicieli, bo i naszéj stolicy na półgłówkach nie zbywa.

Bywaj zdrów i zawierzaj mi, że się cieszyć będę, gdy się dowiem, żeś nie stchórzył, bo w szko-

łach jeszcze oskarżaliśmy Cię, o lękliwe serce i o brak piątéj klepki w głowie.

Twój dobry znajomy
Au. Wi.

P. S. Gdybyś raz jeszcze umierać i o takiém głupstwie donosić mi chciał, nie zapomnij listu frankować.

Ażeby czytelnika powyższych listów w trwodze o życie Remigiusza i w niepewności o losie kochanków nie zostawiać, upewniam, że Remigiusz zdrów jest i dobrze mu się powodzi; ma nawet nadzieję, że zaślubi panią Miętowicz, aptekarkę, wdowę, u któréj od kilku miesięcy jest prowizorem. Gilsomina rady mojéj usłuchała i w Warszawie zrobiła na młodzieży wielkie wrażenie. Obecnie znajduje się w Frankfurcie nad Menem.

D. E. F.

DLA PEŁNOLETNICH DZIECI.

D. E. F.

DLA PEŁNOLETNICH DZIECI.

Ktokolwiek nie zna pierwszego oddziału moich Ramot i Ramotek Literackich, winien przedewszystkiém pierwszy oddział przeczytać, w przeciwnym razie nietylko, że w postępowych pojęciach pozostanie w tyle, ale nadto bynajmniéj nie zrozumie tego oto dalszego ciągu Ramotki A. B. C. i będzie tylko błądził w najniezdarniejszych domysłach, zkąd mnie przyszło być absolutnym belzebuba panem?.. A chociażbym i tutaj objaśnił, że w karczemce pod Siennicą dnia dwudziestego maja tysiąc ośmset czterdziestego pierwszego roku, o godzinie dwunastéj z północy, podejrzanego kota mocą zaklęć podług starych ludzi podania w postać naturalnego diabła a następnie w postać ludzką odczarowałem, nie wieleby pomogło, bo należy znać po szczególe wszystko, jak się stało; potrzeba znać dosłownie użyte przezemnie zaklę-

cia, aby być przekonanym, że rzeczywiście diabeł w moich usługach zostawał i zostaje, — czyli potrzeba A. B. C. z uwagą przeczytać, aby można D. E. F. dokładnie pojąć i zrozumieć.

Z najszanowniejszymi czytelnikami I i II tomu rzecz wcale inna;—dla tych postępowych pań i panów przypomnę tylko, że dwudziestego czerwca tysiąc ośmset czterdziestego pierwszego roku Zbrodniewski, unikając szczegółowego sprawozdania o literaturze warszawskiéj, zbył mnie jedynie żarcikami, np. mówiąc, że literatura warszawska ma chusteczkę do nosa z nauk przyrodzonych, ale że to taka biedna, mała chusteczka. Otóż więc gniewnie odezwałem się do niego:

— Słuchaj, biesie! lubię ja niekiedy twoje żarty; ale przecież tyle masz diabelskiego oleju w rogatéj głowiźnie, że mnie w takim przedmiocie, jak jest literatura krajowa, żartami nie zaspokoisz.—Dla czegoż więc jasnéj prawdy nie mówisz?... dla czego majaczysz?... Czy chcesz, abym cię święconą wodą ustawicznie kropił?... Czyliż do otwartéj szczerości potrzeba cię zawsze srogą męczarnią nakłaniać?...

— Panie dobrodzieju! barbarzyństwem tortur serce szlachetne i umysł ukształcony bezwyjątkowo zawsze pogardzać winny; — dla ciebie,

panie, raczéj przystoi, abyś mnie swoją łaską i dobrocią pokonał.

— Mości Mephistophelesie! czyń ze swojéj strony po temu, abyś był godnym mojéj łaski i dobroci.

— Za to, żeś mi, panie, odjął najwyższe dobro na świecie, ja mam pochlebiać się do twojéj łaski i dobroci?... Nie! tak przewrotnéj logiki nawet w piekle nie znamy. Czyliż to nie twoim jest, panie, wyłącznym obowiązkiem starać się o osłodzenie mojéj niedoli?...

— Miałbyś najwyraźniejszą w téj mierze sprawiedliwość, gdybyś do niewinnie cierpiących należał; ale na twoje nieszczęście sprawa Lucypera, któréj się poświęcasz, jest zupełnie innego rodzaju. Nie mniéj przeto nie stawiaj moim rozkazom oporu; odpowiadaj na moje zapytania jedną i szczerą prawdę a znajdziesz mnie zawsze i łagodnym i łaskawym.

— O cóż panu dobrodziejowi idzie?... o tę warszawską literaturę?... A toćże Wiszniewski w Krakowie pisze historyą literatury polskiéj, tam więc o warszawskiéj znajdziesz, panie, wszystko, czego żądasz:—i zaprawdę Wiszniewskiemu należy się prawdziwa cześć od jego ziomków za tę tak olbrzymią, a pomijając drobniejsze usterki, nieskończenie pożyteczną pracę.

— W téj mierze zgadzam się z tobą najzupełniéj; tylko że czci najgodniejszy Wiszniewski tak rozległéj pracy nie prędko dokończy, a i cena tyle obszernego dzieła nie każdemu będzie przystępna.

— Maleńka w rozlicznych zbytkach oszczędność wystarczy na kupno chociażby najdroższego dzieła; a jestże ciekawsze i więcéj nauczające dzieło nad historyą oświaty ojczystego kraju?... Dla kogoby zaś dzieło Wiszniewskiego było zbyt obszernem lub zbyt drogiém, niechaj nabędzie Historyą literatury polskiéj w zarysach, tomów cztery, którą do druku przygotował i pokrótce wyda Kazimierz Władysław Wójcicki, rzeczy ojczystych dobrze świadomy i sumienny pisarz. Ta praca jako dzieło podręczne dla uczącéj się młodzieży i nawet dla bardzo wielu ludzi, którzy się niestety! uczyć przestali, znakomite przyniesie korzyści. [1])

— Czemuż ty, brysiu, zawsze tak szczeréj nie objawiasz prawdy?...

---

[1]) Historyi literatury polskiéj w zarysach przez Kazimierza Wł. Wójcickiego obecnie wyszło już tomów trzy, po cenie nader umiarkowanéj, tom czwarty wyjdzie w miesiącu lutym 1846 roku. Wacław Aleksander Maciejowski wygotował do druku 3 tomy Historyi literatury polskiéj, najbogatszéj w nieznane dotąd szczegóły. Dominik Szulc pracuje także nad historyą literatury polskiéj i w Przeglądzie Nauko-

— Ale bo ja też nie chcę pana dobrodzieja nudzić ustawicznem mówieniem prawdy; przecież pan dobrodziéj pamięta owo Łacinników przysłowie: „*varietas delectat,*“ właśnie więc dla rozweselenia pana dobrodzieja czasami pożartuję i kłamię, lecz nigdy w téj myśli, abym miał zamiar mego dobrodzieja rozgniewać.

— Już to tobie na wykrętach nie zabraknie. Dziękuję ci za chęć rozweselenia mnie, jednakże mieć pragnę i rozkazuję ci, abyś nigdy nie kłamał.

— Co się też panu dobrodziejowi uwidziało, aby diabeł zawsze prawdę mówił, kiedy dzisiaj świat cały, bo niemal od dziecka z kolebki aż do starca nad grobem stojącego każdy i słowem i czynem majaczy, kłamie i łże;—a człowiek rozsądny kieruje mowę swoję do okoliczności i osobistych widoków.

— Za to, coś powiedział, wart jesteś; aby cię pokropić.

---

wym umieścił wyborowy artykuł: *Rozwój zasad umysłu polskiego w piśmiennictwie.* Hippolit Skimborowicz wyda w bieżącym roku w dwóch tomach: Dzieje literatury polskiéj w dziewiętnastym wieku. Kto się więc teraz historyi literatury nie nauczy, to już chyba czytać nie umie albo do najniegodniejszych leniwców należy. A wszakżeż już i poprzednio dziekan uniwersytetu warszawskiego Feliks Bentkowski, przezacny Lesław Łukasiewicz, jenijalny Maurycy, a w roku przeszłym i były redaktor Przeglądu naukowego historyą literatury polskiéj napisali,

— Za to, żem prawdę powiedział?...

— Żeś wyrzekł łgę i potwarz.

— Otóż dzisiajszéj nocy jeszcze przygotuję dla kochanego pana w złoto oprawne okulary z mojego własnego warsztatu. Jutro założysz je, dobrodzieju, na nos, a przez te okulary dopiéro będziesz mógł czytać w głowie i w sercu każdego człowieka, co czuje i co myśli; a gdy aby jeden z tych wszystkich ludzi, z którymi przez trzy dni rozmawiać będziemy, żadnego uczucia lub żadnéj myśli nie skłamie, natenczas nietylko, że się wyrzeknę Lucypera i wszystkich spraw jego, ale nadto natychmiast wstąpię do Kapucynów i będę wiódł najpowściągliwsze życie na ziemi.

— Naprzód już winszuję ci tak cudownéj przemiany i gotów jestem dzisiaj jeszcze zamówić dla ciebie habit.

— Niech sobie pan dobrodziéj daremnego wydatku nie czyni.

— Czy ty myślisz, że ja ci potwarz puszczę na sucho i że cię w habit ubrać nie potrafię?...

— E! panie dobrodzieju! już ja nieraz przebierałem się w habit. — Ale nie o to idzie, abym się tylko przebrał; ja rzeczywistym, to jest istotnie świątobliwym zostanę mnichem, jeżeli pan dobrodziéj chociaż jednego znajdziesz człowieka,

któryby we wszystkiém bezwarunkową prawdę ogłaszał.

— Cóż ty, biesie, prawdą bezwarunkową nazywasz?... Bo prawda jest Bogiem, Bóg jest prawdą! Jeżeli więc doskonałość pojęć...

— Nie, nie, panie dobrodzieju! tak głęboko nie sięgam. Ja żądam tylko, aby każdy mówił to, co jest jego rzeczywistém przekonaniem, co on za prawdę w duszy swojéj przyjął;—bo że Bóg ziarno prawdy rzucił w istnienie każdego człowieka, to jest rzeczą niewątpliwą. Ale o ile człowiek to ziarno pielęgnuje i do wzrostu w sobie samym uprawia, a o ile go zaniedbuje, poniewiera i niém gardzi, w tém leży cała miara jego wartości i na téj skali ceni się ludzka prawda lub kłamstwo.

— Właśnie podług téjże saméj zasady jutro sądzić będę; — zrób tylko, belzebubie okulary przez którebym mógł każdą myśl i każde uczucie w prawdziwém świetle obejrzyć.

— Nie tylko zrobię ale je jeszcze kochanemu panu w upominku na wieczną oddam własność.

— Bardzoś grzeczny.

— A! już to ja, panie dobrodzieju! jak jestem dla kogo szczery to szczery.

— Więc tak bez żadnego interesu chcesz mnie obdarować?...

— Przecież pan dobrodziéj wiesz, że za te okulary mam odzyskać wolność osobistą.

— Tego nie przyrzekałem; lecz zrób tylko okulary a już osądzę, czyś na tak wielką nagrodę zasłużył.

— Szlachetny sposób myślenia pana dobrodzieja jest dla mnię najpewniejszą pomyślnego skutku rękojmią.

— Powiedz mi téż nawiasem, dla czego ty się tak silnie odemnie wydzierasz?—Masz co jeść, masz co pić, kupiłem ci zawczoraj najmodniejszy *rajtrok*, daję ci i pieniędzy na drobniejsze potrzeby, rozpościeram nad tobą opiekę, i czegoż ci jeszcze brakuje?...

— Alboż ja to jestem bezmyślném stworzeniem, dla któregoby jadło i napój za życie starczyły?—Nie urągaj, panie, mojéj boleści... patrz, co się w mém sercu dzieje i miéj litość nademną.

Belzebub się rozbeczał i łzy pazurami obcierając, tak smutną przybrał postawę, że i mnie się na żałkość zebrało; dla tego obawiając się, aby mnie nie zmiękczył, oddaliłem się do sypialnego pokoju, tę mu tylko dając potuchę:

— Przestań się kwilić, raczéj pracuj, gdyż tylko na téj drodze celu swojego dojść możesz.

Wychodząc widziałem, że bies, wyjmując

z kieszeni diamentowe kowadło, świecę zadmuchnął.

Warszawa dnia 21 czerwca 1841 r.

o 12-éj z północy.

Gdym dzisiaj o osméj godzinie rano wszedł do pokoju Edwina, zastałem go siedzącego naprzeciw zwierciadła;—gorącém żelazkiem zawijał loki na swéj diabelskiéj głowiźnie.

— Czy ty znów chcesz jaką, błazeńską rolę odgrywać?...

— Nie! panie dobrodzieju!

— Dla czegoż więc głowę swoją w pudli łeb zamieniasz?...

— Minęły już czasy, kiedy nieschludność była znamieniem wielkiego myśliciela; dzisiaj bardzo rozgłośni filozofowie noszą sukienki podług najnowszéj mody a nawet przyjmują tytuły najniefilozoficzniejsze.

— Ubranie się w suknie najnowszego kroju, gdy ten krój dogodniejszym się okaże, jest dla każdego właściwém; ale nie pokażesz mi dzisiaj znakomitego męża, któryby głowę, siedlisko rozumu, sztucznemi kółkami błaźnić sobie dozwolił; i kiedy widzę na młodym czerepie takie o kółkach staranie, zawsze się lituję nad jego umysłowém kalectwem.

— A jak pan dobrodziéj byłeś młodym, nigdy loczków nie zawijałeś na głowie?...

— Nigdy.

— Od czegoż pan wyłysiał?...

— Od rozumu, belzebubie! Czy nie słyszałeś, że głupie głowy nigdy nie łysieją.

— Ja słyszałem, że mądre włosy z głupiéj głowy uciekają.

— Spiriantus!...

— Przepraszam pana dobrodzieja! Ja tylko ośmieliłem się podraźnić kochanego pana.

— Ja ciebie podraźnię!... A cóż, zrobiłeś okulary?...

— Zrobiłem, jaśnie panie, i udały mi się przewybornie. Oto są na dni trzy do usługi pańskiéj.

— Czy tylko oczom nie zaszkodzą?... Tyś gotów mnie wzroku pozbawić.

— A przecież jestem w mocy mojego dobrodzieja; mógłbyś mnie, panie, karać bez miary. Wreszcie żebym...

— Nie przysięgaj! Już ja ci wierzę, że nic chciałbyś się narazić na mój gniew nieprzebłagany. Ale te twoje okulary trochę mnie cisną za uszami.

— Można bawełną, albo jedwabiem owinąć.

— Mniejsza o to; ubieraj się, zaraz pójdziemy na miasto.

Ledwożeśmy wyszli na ulicę, spotkałem znanego mi chłopczyka.

— Edzio! dla czego nie poszedłeś dzisiaj do klassy?

— Ja właśnie idę do klassy.

— Tak późno?

— Dziś dopiero o 10-éj przyjść nam kazali, bo panowie profesorowie mieli być na jakiéjś sesyi.

Rzuciwszy na Edzia lekkie przez okulary spojrzenie, odrzekłem mu z powagą:

— Kłamstwo jest tak wielkiém błędem, że po największéj części do występków prowadzi! Za marymontskie rogatki nie zdążaj,—wyciągnij pod kamizelką ukryte kajety i ruszaj natychmiast do szkoły, w przeciwnym razie powiem twojemu ojcu, aby cię przykładnie ukarał.

Jeszcze przelękniony Edzio z oczu naszych nie zniknął a Zbrodniewski z radości, że mu się okulary udały, rączki zacierał i cieszył się nadzwyczajnie, gdy na ulicy Królewskiéj zabiegł mi drogę pan Telesfor Sztopnicki.

Telesfor.

A! jak się pan miewasz?... dawno już pana Augustyna dobrodzieja nie widziałem. — Gdzie

się pan kryjesz?... ani widnąć w salonach — cóż pan robisz?..

Ja.

Zdrów jestem, moje zatrudnienia są nieodmienne; — ale jakżeż się panu Telesforowi powodzi?...

Telesfor.

Jam i niebardzo zdrów, za wiele pracuję, za wiele piszę i czytam. W tych dniach zamierzam wyjechać do Sztokholmu, potrzeba mi bowiem zajrzyć do rękopisów Jana Zamojskiego, które Szwedzi podczas drugiego na Polskę napadu ze sobą uwieźli.

Okulary.

Od sześciu miesięcy pióra nie wziął do ręki; prócz 4 tomów francuzkiego romansu, jak zwykle w lichém tłumaczeniu, nic zgoła nie czytał. Ścigany przez wierzycieli, czmycha do wujaszka w Podlaskie.

Ja.

A kiedyż mnie pan na ślub zaprosisz?...

Telesfor.

Jeszcze się nie zdecydowałem. Panna mi sprzyja, rodzice pragną, abym się oświadczył; —

cóż, kiedy o posagu ani słowa nie mówią, a ja, prostą idąc drogą, bez 50,000 dukatów hrabianki nie wezmę; mam wprawdzie z łaski Boga szlachecką fortunkę, która mi 30,000 złp. czystego dochodu przynosi, ale to zaledwie na kawalerskie starczy potrzeby, nie rzekłąc, że mnie same książki 10,000 złp. do roku kosztują!

Okulary.

Raz tylko na teatrze widział hrabiankę, panna go wcale nie zna, rodzice nie wiedzą, że Telesfor Sztopnicki żyje na świecie; stałych dochodów nie ma, książek nie kupuje.

Ja.

Trzydzieści tysięcy złp.! czystego dochodu, rzecz nie małéj wagi.

Telesfor.

Ze śmiercią mojego starego spodziewam się mieć rocznie do stu tysięcy.

Ja.

Dobra ojca pańskiego w którym leżą powiecie?...

Telesfor.

Nasz familijny majątek jest częściowo za Grodnem, a częściowo na Podolu.

Okulary.

Ani jednéj żerdzi nie mają.

Ja.

I dokądże pan zdążasz w téj chwili?...

Telesfor (z uśmiechem).

Mam maleńkie *rendez vous*, — tajemnica mojego serca.

Okulary.

Biegnie do ciotki z błagalną prośbą o pożyczenie dwudziestu złp., gdyż nie ma za co obówia wykupić.

Ja.

Już to, jak widzę, że z pana Telesfora wieczny Lovelace. Nie przeszkadzam, — życzę pomyślnego skutku, — bo obówie na bruku bardzo potrzebne.

Po samą czuprynę zarumienił się Telesfor, jam go uśmiechem litości pożegnał.

Na Saskim placu spotkaliśmy pana Szelążkiewicza, — szedł w zamyśleniu i kroki swoje do Saskiego ogrodu kierował.

Ja.

Dzień dobry panu Szelążkiewiczowi!

Na Saskim placu spotkaliśmy pana Szelążklewicza.

Szelążkiewicz.

Upada się do nóżek pana dobrodzieja.

Ja.

Pan idziesz do ogrodu świeższego zażywać powietrza?

Szelążkiewicz.

Tak jest, mości dobrodzieju; — człowiek znękany niesprawiedliwością ludzi pragnie chociaż w ogrodzie chwil kilka odetchnąć.

Ja.

A któż to poczciwemu panu niesprawiedliwość wyrządził?

Szelążkiewicz.

Kto chce to i wyrządzi.

Pożyczyłem panu Erazmowi 300 czerwonych złotych, od roku ani kapitału ani procentu nie płaci.

Okulary.

Odebrał od marnotrawnego Erazma przekaz 14,000 złp. na najpewniejszą hypotekę dóbr ziemskich.

Ja.

I żadnéj, panie, nie masz nadziei odbioru tych trzystu czerwonych złotych.

Szelążkiewicz.

Właściwie mówiąc, jest i jakaś nadzieja; ale ja, łaskawy dobrodzieju, dając ostatni grosik mój, nie spodziewałem się mieć tyle kłopotów a może i straty.

Okulary.

Stary lichwiarz kłamie, bo to nie jest jego grosz ostatni; ma on bowiem 150,000 złp. w Listach zastawnych, 90,000 w klejnotach, na które pożyczył 1/4 część wartości, i 230,000 na hipotekach dóbr ziemskich i domów warszawskich; prócz tego jest w posiadaniu kilkunastu wexli osób pewnych, od których bierze po 2 prócent na miesiąc.

Zbrodniewski do Szelążkiewicza.

Czy pan dobrodziéj nie miałeś dawniéj interesu z panem baronem Foch?...

Szelążkiewicz.

Z panem baronem Foch?... Miałem, miałem. — Niech mu pan Bóg nie pamięta. Wiele mnie zdrowia ten pan baron kosztuje.

Okulary.

Wydarł mu resztę zaszarganego majątku, zyskał na baronie 60,000 złp.

Zbrodniewski.

Baron Foch mile pana dobrodzieja wspomina.

Okulary.

Foch Szelążkiewicza na dno piekła przeklina.

Szelążkiewicz.

Już to bo i właściwie pan baron dobre ma serce a i nie zaszła żadna przyczyna, aby na mnie narzekać mógł; — rozstaliśmy się w zgodzie, podarowałem mu nawet 13 złp. kosztów sądowych.

Okulary.

Śliczny z ciebie dobroczyńca! Niech pan Bóg każdego broni od takich podarków.

Ja.

Wybieram się do pana dobrodzieja także z maleńką prośbą.

Szelążkiewicz.

W czémżeż mogę być łaskawemu panu usłużnym?...

Ja.

Potrzebuję 6,000 złp.

Szelążkiewicz.

Z miłą chęcią wygodziłbym panu mojemu, ale żeby tylko pan Erazm uiścić się chciał.

Okulary.

Na jakąż to pewność, — hipoteka, srebra czy brylanty?...

Ja.

Dam panu dobrodziejowi oblig urzędowy.

Szelążkiewicz.

Dla pana dobrodzieja dałbym i bez obligu, bez rewersu, ale Bóg świadkiem moim, że teraz jestem bez grosza, chybaby po Bożém Narodzeniu.

Ja.

Za długo czekać, mój mości Szelążkiewiczu; nie mógłbyś, dobrodzieju, przyspieszyć? — dam pewność hipoteczną, mam i nieco niepotrzebnych mi kosztowności.

Okulary.

Serce lichwiarza febry z radości dostało.

Szelążkiewicz.

Kiedy kosztowności są niepotrzebne, to się panisko nie będzie spieszyło z odbiorem; ale mniejszaby tam było i o to, lecz właściwie mówiąc, nie mam ja własnych pieniędzy, chybabym się postarał...

Ja.

Bądźżeż więc pan dobrodziéj łaskaw pomyślić o tym interesie i przy wolniejszym czasie racz mnie odwiedzić.

Szelążkiewicz.

A możebym dzisiaj w poobiedniéj godzinie złożył panu dobrodziejowi moje uszanowanie?

Ja.

Dzisiaj jestem na cały dzień zamówiony, ale jutro oczekiwać pana będę o dziewiątéj z rana.

Szelążkiewicz.

Służyć nie omieszkam i wszelkiego dołożę starania, abym szanownemu panu pomocnym być mógł.

Okulary.

Abym najnieuczciwszą korzyść wyciągnął.

Z pogardą odwróciwszy oczy moje od starca lichwiarza, spostrzegłem dwie, na przeciw mnie idące panie, z któremi niedawno w domu moich krewnych miłą zrobiłem znajomość, a więc biegnę, witam i o zdrowie zapytuję.

Pani S...

Jesteśmy zdrowe i bardzo nam przyjemno, że pana widziemy. Pan obiecałeś nas wczoraj odwiedzić?...

Okulary.

Pocóż nam drogę zachodzisz — spieszymy do magazynu mód — czegoż nas dręczysz swoją grzecznością?

Pani Z...

To się nie godzi nie dotrzymać słowa; wczoraj spodziewałyśmy się pana z pewnością.

Okulary.

Były w teatrze, twoja *facyata* ani im na myśl nie przyszła.

Ja.

Przyjazd do Warszawy jednego z moich dawnych znajomych, którego mam zaszczyt paniom przedstawić, — Pan Zbrodniewski, — nie dozwolił mi służenia paniom.

(Zbrodniewski się kłania z wielkiém umileniem pyszczka swojego).

Pani Z...

Przepraszamy, żeśmy pana posądziły o niegrzeczność...

Okulary.

Cóż to za prześliczny młodzieniec!

Pani S...

Ależ pan może nam pokrótce nagrodzisz dzień wczorajszy?

Ja.

Po odjeździe pana Zbrodniewskiego służyć paniom nie omieszkém.

Pani Z...

Bardzo proszę, bardzo proszę.

Okulary.

Kiedy się nie domyślasz, że bliższe zapoznanie nas z twoim młodym przyjacielem byłoby dla nas prawdziwą grzecznością, to też nie potrzebujesz się spieszyć z twojemi odwiedzinami.

Ja.

Ale ja paniom drogi czas zabieram; panie zapewne idą do magazynu mód, zkąd tak piękne wyglądają kapotki i stroiki.

Pani S...

Więc nas pan za tak maluczkie osądzasz, że mogłybyśmy przenosić kapotki i stroiki nad miłą z uprzejmym literatem rozmowę?

Okulary.

Śliczny chłopiec ten jego znajomy.

Ja.

Wdzięczny jestem pani za pochlebne wyrażenie, niemniéj przeto drogiego czasu paniom dłużéj nie zabieram i mam honor panie pożegnać.

Pani Z...

Przypominamy obietnicę...

Nastąpiły ukłony, umilenie usteczek, wyrazy: *adieu, adieu, au plaisir de vous revoir.* Piękne koteczki pobiegły do magazynu mód, jam ze Zbrodniewskim daléj wędrował.

Wchodząc na ulicę Wierzbową, spotkaliśmy świetny orszak pogrzebowy: za trumną postępowało grono dzieci, w grubą żałobę przybranych. Na widok dzieci w żałobie zdjąłem co prędzéj okulary z nosa i schowałem je do kieszeni, lękałem się bowiem, abym nie dostrzegł znieważenia świętego względem rodziców uczucia. — Zbrodniewski naglił mnie, abym ten pogrzeb koniecznie przez okulary obejrzał; odmówiłem mu stanowczo, zapytał więc złośliwie:

— Proszę pana dobrodzieja, dlaczego oni za dnia tyle gorejącego światła niosą przed trumną i przy trumnie?

— Dla uczczenia pamięci zmarłego.

— Ja rozumiałem, że oni mu dla tego przyświecają, żeby na cmętarz trafić mógł.

— Głupiś z twoim dowcipem; jesteś biesem, więc nie rozumiesz prawdziwego znaczenia używanych przez nas obrządków.

— *(Z urąganiem:)* Być może, że i nie rozu-

— A któż jest twój pan?...
— Ja jestem od pana hrabiego Bączyńskiego.

miem, ale się domyślam, dla czego pan dobrodziéj okulary schowałeś. Ja panu dobrodziejowi bez okularów opowiem. Ten świetny pogrzeb jest kłamstwem, gdyż nieboszczyk był łotrem; on przez całe życie ani jednego obowiązku względem bliźnich nie wypełnił uczciwie.

— Milcz! albo zawołam chłopca, aby cię uderzył tym krzyżem, który niesie przed księżmi.

Zgrzytnął diabeł zębami, oczy spuścił na ziemię i tylko sobie coś mruczał pod nosem. — Minął nas orszak pogrzebowy; udaliśmy się na ulicę Trębacką i zamierzyłem wstąpić do bióra informacyjnego pana Aloizego de Mogiła Stankiewicza, gdy mnie ktoś lekko za rękę uchwycił; — obracam się, był to lokaj w liberyi herbowéj.

— Przepraszam jaśnie pana, mój pan prosi jaśnie pana, żeby jaśnie pan był łaskaw wstąpić do mojego pana.

— A któż jest twój pan?...

— Ja jestem od pana hrabiego Bączyńskiego.

— Od pana Apolinarego?...

— Tak jest, jaśnie panie.

— Dawnożeście przyjechali do Warszawy?...

— My tu już jesteśmy od tygodnia; ja dwa razy chodziłem do jaśnie pana, alem jaśnie pana nigdy nie zastał.

Okulary.

— Nie był ani razu.

— Gdzież stoicie?...

— Tu w Rzymskim hotelu; właśnie mój pan zobaczył jaśnie pana przez okno.

— Dobrze, mój ciemny panie, idę do twego jaśnie pana.

Na wschodach przyjął mnie Apolinary szczerym uściskiem.

W pokoju przedstawiłem mu Zbroniewskiego, usiedliśmy na kanapie, podano sygara po gr. pol. 16. Zbrodniesio ugryzł końce od trzech sygar i rzucił na ziemię, dopiéro czwarte *zdawało mu się, że będzie dobre.*

— Cóż ty, kochany Apolo, w Warszawie porabiasz? Podobno już od tygodnia gościsz w murach naszéj stolicy.

— Przyjechałem za procesem i chciałbym na mój majątek skarbową zaciągnąć pożyczkę.

— Procesujesz się i skarbową zaciągasz pożyczkę a mieszkasz jak książe? Ileż tu płacisz?...

— *Na honor* nie pytałem się; zdaje mi się, że nie więcéj jak 24 złp. dziennie.

Zbrodniewski.

Trzy pokoje z przedpokojem wcale nie drogo.

Ja.

Z kimże i o co się procesujesz?...

Apolinary.

Z moim ojczymem o 150,000 złp.

Okulary.

Podziel przez 3, odejm 10, będziesz miał 40— potrąć 27,000 wybranych za kwitami, pozostanie 13,000, które Ahraham, dając 4,000 złp. i dwie anglizowane klacze, na własność swoję nabył i do hipoteki zapisał.

Ja.

I któregoż masz mecenasa?...

Apolinary.

Mam ich aż pięciu.

Okulary.

Ani jednego.

Ja.

Pięciu mecenasów! to nie żarty! Musiałaby sprawiedliwość mieć uszy chyba dębowemi kołkami zabite, gdybyś sprawę swoję przegrać miał.

Apolinary.

Przegrać *słowo honoru* mogę. A cóż to nie znasz mojego ojczyma?... Tylko że trafił swój na swego, i *słowo honoru* ja także wiem, kiedy mi

trawa pod nogami rośnie. — Ależ *à propos*, nie wiesz tu o kim w Warszawie, coby mi 500 dukatów na 2 miesiące pożyczył?

Ja.

Obecnie nie mam takich znajomości.

Zbrodniewski.

A pan Szelążkiewicz?...

Apolinary.

Szelążkiewicz?...

Zbrodniewski.

Maleńki, zawiędły, mieszka na Grzybowie.

Apolinary.

Przypominam sobie; — ale ja z tym starym trochę na bakier.

Okulary.

Zahipotekował na mojéj wiosce 25,000 złp., dłużny mu jestem dwuletnie procenta; stara się o wywłaszczenie Palęcin.

Zbrodniewski.

To ja tu znam jeszcze jednego poczciwca, który jest na moje rozkazy; — niejakiś pan Hab'sfeld von Butterling, człowiek bardzo uczynny i trudniący się *con amore* wypożyczaniem pieniędzy.

Apolinary.

Bien obligé Mr. Zbrodniewski, bardzo mnie pan dobrodziéj obowiązujesz swoją grzecznością, *słowo honoru* oddam na termin, wielką mi pan zrobisz uczynność. *Vraiment* nie wiem, jak mam mojemu panu podziękować. — Czy pan dobrodziéj nie masz familii na Wołyniu?

Zbrodniewski.

Litwa, Wołyń, Podole, Ukraina, panie! to wszystko moje gniazdowe strony, i tam to właśnie mam kilka tysięcy dusz mojego własnego majątku.

Okulary.

Diabeł prawdę powiedział.

Apolinary.

Bardzo, bardzo mi przyjemnie, że z panem hrabią miłą zrobiłem znajomość.... Auguście! czy nie bylibyście panowie łaskawi odwiedzić mnie wieczorem; będę miał u siebie kilku z młodzieży, zrobimy partyjkę.

Okulary.

Chce ograć Zbrodniewskiego.

Ja.

Przepraszam cię mój Apolo, ale dzisiaj służyć ci nie mogę.

Apolinary.

Ale *à propos* może panowie pozwolą maleńkie u Francuza śniadanko?....

Ja.

Apolinku! schowajmy na inny raz.

Apolinary.

Guciu! *słowo honoru* będę się gniewał! — Ja tak szczęśliwy, żem cię zobaczył, że tyle miłą zrobiłem z panem Zbrodniewskim znajomość...

Okulary.

Zbrodniewski mówił, że kapitalista Butterling jest na jego rozkazy, mógłby nawet za mnie poręczyć; koniecznie trzeba serdeczną z nim zawrzeć przyjaźń, spoić, do wdzięczności zobowiązać.

Ja.

Jeżeli już koniecznie....

Apolinary.

Słowo honoru że mi wielką wyświadczysz łaskę; ty nie wiesz, Guciu, jak ja ciebie kocham!

Okulary.

Zdaje mi się, że on tego pana Zbrodniewskiego pod szczególną trzyma opieką.

Ja.

Tylko cię uprzedzam, że ja wiele pić nie mogę.

Okulary.

Jeszcześ, dobrodzieju, nigdy za kołnierz nie wylał.

Ja do Zbrodniewskiego. (na stronie).

Twoje okulary lubią żartować.

Zbrodniewski (najciszéj do ucha).

Jak Lucypera kocham, że nigdy nie kłamią.

Apolinary (wciskając ciasne rękawiczki i biorąc kapelusz).

A więc służę najłaskawszym panom.

Ponieważ pan Apolinary, jak twierdził, jest z Marym cokolwiek na bakier *(winien mu 740 złp.)*, udaliśmy się przeto do Michaux'ta na Krakowskie Przedmieście.

Siedm godzin upłynęło przy śniadaniu, zastaliśmy bowiem u Francuza wielu znajomych; nasze towarzystwo urosło do liczby trzynastu, a oprócz naszego towarzystwa było jeszcze mniejszych i większych ośmnaście innych towarzystw, nie licząc osób pojedyńczych. Talerzniki, których z francuzkiego *garsonami* nazwano, nie mogli nastarczyć usługi; — szampan i tylko szampan lał się potokiem, wykwitnych potraw i przysmaczków

zupełnie przybrakło, i kto twierdzi, że u nas są ciężkie czasy, winienby zwiedzić restauracye francuzkie. Zbrodniewski był w brylantowym humorze; moje okulary na wszystkie strony prostując fałsz i kłamstwo, z usilnością zwracały moję uwagę ku ubocznym stoliczkom, przy których pewne strony z pewnemi stronami układały się o bieg interesów; w oddzielnych pokoikach szaloną częstacyą starzy swawolnicy usiłowali zapewnić sobie chwilowe względy pięknych twarzyczek, a wszędzie dobry ton objawiany mową francuzką, — wszystko szumno, huczno, głośno, wszyskiego obficie, a wszędzie *radość i wesołość*...

O ile kawiarnie warszawskie są dla kilku tysięcy uboższéj młodzieży codziennem polem najniegodniejszego próżniactwa, o tyle francuzkie restauracye najskuteczniéj dopomagają naszym paniczom do sybarytskiego życia i marnotrawstwa bez miary. Zapłacić trzysta, czterysta i pięćset złp. za śniadanie dla dwóch, trzech osób, jest w naszych francuzkich restauracyach rzeczą tak bardzo zwyczajną, że garsony z uśmiechem pogardy patrzą na tych, którzy za kilka złotówek posilić się pragną.

Przy końcu téj bahandryi celem oczyszczenia moich okularów, bo kłamstwo i dym zagranicznych sygar zanadto je ściemniły, wyszedłem na

balkon; patrząc na przeciwległy dom Towarzystwa Dobroczynności, pomyślałem:

„Iluż to znów z tych paniczów, którzy dzisiaj tak zbytkowne płacą śniadania, szukać będzie kawałka razowego chleba w tym przytułku ubóstwa i nędzy.

„Znam w Warszawie bardzo wiele osób, które poczytałyby za hańbę nakarmić się w polskiéj garkuchni, — które twierdzą i dowodzą, że bez francuzkich restauracyj żyćby nie mogły, — a pomiędzy temi osobami jest kilku ichmościów, którzy dochody swoje opierają na najbrudniejszéj podłości. Ubiór żurnalowy, wykwintne jedzenie, wizytowanie dam *du haut parage*, francuzkie romanse wydania bruxelskiego, sygara hawańskie, znajomość w balecie, — oto są żywioły tych pasożytników, snujących się po wszystkich salonach, nadających ton stolicy; dumnie spoglądających na klasę pracującą, na ludzi czynu, zasługi cnoty.“

Już była godzina 6 z południa, gdyśmy wyszli z restauracyi francuzkiéj; że zaś postanowiłem ten pierwszy dzień poświęcić przyjrzeniu się przez okulary tak nazwanéj wyższéj klasie naszego społeczeństwa, dzień drugi klasie średniéj, a dzień trzeci ubogim rzemieślnikom i wyrobnikom, a więc biorąc ze sobą Zbrodniewskiego

i starannie sadowiąc na nos okulary, pospieszyłem z wizytami do··· do··· do··· do··· do··· do···. Jakoż w tych wszystkich miejscach byłem po trzy spełna kwandranse, i byłoby może jeszcze czasu starczyło na wizytę siódmą, ale już przy szóstéj obydwa szkiełka pękły w moich okularach. Nad wszelki wyraz szczęśliwy Zbrodniewski, gdy ja ten dziennik spisuję, w przyległym pokoju puka młoteczkiem, nowe fabrykując szkiełka.

Wymienić wszystek fałsz i wszystkie kłamstwa, które na tych sześciu wizytach poznałem, przechodzi zakres mojego dziennika, o tém należałoby księgi spisywać; — zresztą, któż téż może się spodziewać znaleźć prawdę tam, gdzie przeszlufowane udelikatnienie, to jest obłudę za powinność, pochlebstwo za obowiązek poczytują; gdzie otwartość nazwanoby najśmieszniejszém głupstwem, szczerość umysłowém ograniczeniem, a jawność uczuć manierą karczemną; — gdzie udatne zamaskowanie się jest porządkiem dziennym, istotą ich życia — i niemal że nie cnotą.

Szych na kołnierzach liberyi, brązy w pokojach, w ustach ludzkość i religia, w sercu brud, w duszy nikczemność, w umyśle nakoniec grube niepojęcie przeznaczenia naszego, — oto jest mniéj więcéj całość tego, com dzisiaj na sześciu wizytach przez moje okulary zobaczył. — Szczegółów

nie wyliczę, boby się jeszcze ktoś rozdąsany przyznał do swoich fatalności i gotówby się pokusić do najhaniebniejszego kroku, — niestety! tak bardzo u nas praktykowanego.

Jutro i pojutrze zwiedzając klasy średnie i najniższe, będę wyraźniejszym.

(Ciąg dalszy w tomie piątym).

TRUDNO UWIERZYĆ

A JEDNAKŻE I TRUDNO NIE WIERZYĆ.

TRUDNO UWIERZYĆ

A JEDNAKŻE I TRUDNO NIE WIERZYĆ.

Są dziwy, o których się naszym filozofom nigdy nie śniło.

Już od godziny pan Alfred Bronisławski, niemieckiego uniwersytetu uczeń, rozprawiał i dowodził, że czasy grubéj niewiadomości minęły, że dzieła boskie stały się dla człowieka jasne i najzupełniéj zrozumiałe; i począł wykładać, że dusza po śmierci pojedyńczego człowieka powraca na łono ducha ogólnego,—że życie dziecięcia jest siłą ujemną, ogólnego ducha siłą dodatnią, że ten duch ogólny dostateczną liczbą śmierci osób pojedyńczych za pewnym czasem dozupełniony, stanie się *A* pomnożonem przez *A*, czyli potęgą doskonałości duchowéj i na niebieskim zasiądzie *stolcu* [1]) i już nieodwołalnie światu panować będzie, itd. itd. Pan Alfred mówił z takim

[1]) Wyraz starodawny, oznaczający krzesło tronowe.

zapałem, z tak dobitném przekonaniem, z tak głęboką nauką i mądrością, że w licznem gronie obecnych najzgodniejsze panowało milczenie,— gdy przy kominkowym ogniu siedzący, z ukosa na pana Alfreda patrzący się dziedzic Lissówki, pan Hiacynt Szpakowski, obywatel w wieku podeszłym, wyjąwszy króciuchną z ust fajeczkę, powstał i z udaną odezwał się grzecznością.

— Zbudowałeś nas, panie Alfredzie, swoim świeżym i jasnym rozumem, słuchaliśmy cię z uwagą, pozwól, że cię teraz o maleńkie spytam objaśnienie;—racz mnie łaskawie posłuchać.

Było to, panie dobrodzieju, pod jesień; wybrałem się w pole do siewu pszenicy i jako do myślistwa nazwyczajony, wziąłem z sobą smycz chartów.—Jadąc stępem przez wieś, spostrzegłem kobiétę, załamującą ręce i zanoszącą się od płaczu; na jéj twarzy była wyrytą boleść i rozpacz. Wie Pan Bóg o tém, wiedzą i sąsiedzi, żem chrześcianin, że mam serce tkliwe i czułe na nieszczęście bliźniego,—przystanąwszy więc spytałem:

— *A cóż ci się stało, Jędrzejko, że tak ciężko lamentujesz?*

— Jakżeż nie mam ciężko lamentować, kiedy oto *mój* w chałupie już kona i mnie z dziećmi biedną sierotę opuszcza.

Serce mi się z żalu ścisnęło, a więc zeskoczy-

wszy z konia, ozwałem się do onéj płaczącéj kobiéty:—*może téż jeszcze Pan Bóg przemieni.*

— Kiedy on już od godziny w konaniu i jedno patrzyć, rychle zamrze nieborak.

— Zobaczę ja, zobaczę.

Tych słów domawiając, przestąpiłem próg chałupy i spostrzegłem rozciągnionego chłopka na ubogiém posłaniu. Oczy bielmem zaszłe miał w słup postawione, ręce i nogi jak lód zimne, usta martwe, piersi jeno pracowały przyspieszonym a ciężkim oddechem i rzeczywiście niewątpliwém a widoczném było konanie. W chacie wieśniaka, panie dobrodzieju, nie wstydzimy się religijnych zwyczajów; — przykląkłem na kolano i pochylony ku obrazom świętych pańskich, całą ścianę nad łóżkiem zapełniających, z czystą wiarą odmawiałem *modlitwę za konających*, gdy naraz poruszanie się piersi konającego ustało,—cała postać wyprężyła się od stóp do głowy,—całe ciało zastygło—i w tejże chwili... ale pan dobrodziéj zapewne nie uwierzy, jednakże ja to na moje własne oczy widziałem, — z ust tego chłopka uleciał czerwono-niebieski *per modum* płomyczek ot téj wielkości jak paznogieć u serdecznego palca, tylko że był u góry nieco zwężony;—i panie dobrodzieju, ten płomyczek wzniósł się nad łóżko i skierował się ku drzwiom, otworem stojącym, w tém

moje charty, które za mną przyszły do izby, postrzegłszy ten płomyczek, poskoczyły ku niemu; *Cudna* się spięła, *Lotka* dała susa—i o włos jeden że nie schwyciła;—płomyczek na piec,—*Cudna* za nim; płomyczek ku komorze,—*Lotka* w progu; na raz płomyczek uderzył w okienko, szybkę wyłamał i na wieś popłynął;—aliści wołoski, kudłaty *Wicher* jak swoją szeroką piersią palnie w toż okienko, tak je też i z ramkami wysadził. *Cudna Lotka* za nim, ja wybiegam przededrzwi, patrzę—płomyczek płynie ulicą, charty za nim. Około kuźni widziałem go już tylko jak główkę od śpilki; przy wiatraku już nic nie dojrzałem, jenom widział, że psy się łamią w obrotach — i trwało to minut dwie, trzy najwięcéj. Naraz spostrzegam, że tąż samą ulicą płomyczek wraca, charty tuż, tuż coraz bliżéj;—płomyczek wpada przez okienko napowrót do chałupy, charty za nim; płomyczek pod łóżko, *Lotka* za nim; płomyczek na szafkę z garnkami, *Cudna* za nim; płomyczek do komina, *Wicher* chlapnął pyskiem i znów o włos tylko, że nie uchwycił; nagle płomyczek się zakręcił — i chup!.. wpada w usta zmarłego chłopaka, który natychmiast—ale pan dobrodziéj temu i nie uwierzy—oczy otworzył i podnosząc się z łóżka, dosyć silnym wymówił głosem: „*A pódziesz*“ i mojego *Wichra* kułakiem w trąbę uderzył.

Krótko panu dobrodziejowi dokończę, chłopek wstał, zadział na się sukmanę, ujął mnie za kolana i wyrzekł z wdzięcznością: „Bóg zapłać wielmożnemu panu; póki żyw będę, nie zapomnę, że mnie wielmożny pan swojemi chartami od śmierci uratował.“

Czwarty od tego czasu minął już miesiąc; chłopek, panie dobrodzieju, zupełném cieszy się zdrowiem — tak nam daj, Boże, na najdłuższe lata.

Ja się tam filozofii nie uczyłem; ale to, com panu dobrodziejowi opowiedział, na własne oczy, w mojéj własnéj wiosce, w miesiącu wrześniu przeszłego roku widziałem i wnioskuję, że to co innego być nie mogło... tylko dusza!...

Wiarogodny obywatel umilkł, uczeń niemieckiego uniwersytetu głęboko się zamyślił...

SŁÓW KILKA O PANNACH.

SŁÓW KILKA

o pannach bardzo dobrze ułożonych; o pannach, które nazywają osobami dystyngowanemi; o pannach frontowych; o pannach które mają pięknie umeblowaną główkę i o pannach gospodarnych.

Kiedym moję piérwszą wiejską gospodarkę rozpoczął, opatrzyłem się przedewszystkiém w ogary i charty, w jamniki i wyżły, na błoto i na suche pole; a następnie chełpiłem się przed sąsiadami, że moje ogary sarnę forsują, że moje jamniki nietylko lisa ale i starego jażwca duszą;— o mojéj zaś Dyance, kasztanowatéj wyżlicy z przekrajanym nosem, mawiałem zawsze, że jest przewybornie *ułożona*. Dziwnie więc zabrzmiało w uszach moich, gdym tutaj w Warszawie posłyszał: „*Panna jest dobrze ułożona.*“ Czyby do kuropatw stawała?... pomyślałem w piérwszym nie-

wiadomości zapędzie; — a może na błoto?... Ale wywiódł mnie z błędu świadomy rzeczy jegomość, zapewniając, że panna *bardzo dobrze ułożona* jest mniéj więcéj taką samą, jak była za Księstwa warszawskiego panna z *bardzo piękną edukacyą*.

Wiele, bardzo wiele byłoby pisać o dzisiejszém umysłowém kształceniu córek i sióstr naszych... Znam dystyngowane mamy i papy, płacące za lekcye tańca po złp. 20,—a za godziny *innych przedmiotów* po złp. 1... zwyczajnie jak co jest w modzie.

Tymczasem opowiem Państwu Dobrodziejstwu, moje niektóre spostrzeżenia nad *niektóremi* nowemi rodzajami panien.

1) *Panna bardzo dobrze ułożona* tańczy prześlicznie i gra na fortepianie kompozycye Liszta i Thaiberga; śpiéwa wielkie arye włoskie,—mniejsza o to, że najfałszywiéj, ale wielkie;—mówi dobrym akcentem nietylko po francuzku ale i po angielsku; czytała całego George Sanda i odgaduje niekiedy *rebusy* w francuzkich gazetach illustrowanych: w rodzicielskim domu réj wiedzie; jeździ konno i—spodziéwa się rychło iśdź za mąż.

2) Panna, którą nazywają *osobą dystyngowaną*, czyta z namiętnością wszystkie pamiętniki *(Memoires)* i wierzy w nie bezwarunkowo; pisze

o emancypacyi kobiét; zwykle już nie tańczy; ubiera się niekiedy w czepek a bardzo często w kosztowne i zgrabne pantofelki; przychodzi w większe towarzystwa sama jedna a chętnie młodszym pannom matkuje; lubi mocną herbatę i słabą już żywi nadzieję zrobienia dobréj partyi chociaż kabała nieraz jéj wiele szczęścia obiecuje.

3) *Panna frontowa* odłącza się w towarzystwie od innych panien; zaczepia mężczyzn, mówi głośno i śmiało mianowicie też obcym językiem; nigdy nikomu i w najdrażliwszych odpowiedziach niedłużna a często i cięta; z góry spogląda na inne kobiéty; przekonana o swojéj urodziwości i o swoim rozumie; grywa najmocniejszém uderzeniem klawiszy; śpiewa z uśmiechem zalotnym na ustach i w oczach; ubiera się modnie i z gorsem bynajmniéj nieskąpo odsłonionym; tańczy wiele i stara się o to, aby w pierwszéj parze stanęła; przy tém wszystkiém najwidoczniéj jest pewną zwycięztwa; niewieścia łagodność jest dla niéj obcą; łzy w jéj oku nie spostrzeżesz; do zemsty skłonną; w wyborze małżonka jéj serce żadnego nie ma udziału.

4) Panny, które mają *pięknie umeblowane główki* potrafią listy pisać w pochlebnych wyrazach, charakterem bardzo ładnym, ale niezupełnie ortograficznie; wiedzą wiele szczegółków z historyi Ludwika XIV i XV; lubią mówić o Dziewicy or-

leańskiéj i o Maryi Stuart; czytały kilka rozdziałów z historyi rzymskiéj; częstokroć są racyonalistkami i komponują dla młodszego rodzeństwa wiersze na imieniny dziadunia, babuni, mamy i papy.

Za mąż idą z wielką ochotą.

5) Panny gospodarne mało mają posagu; zjadliwie wyśmiewają kobiéty prawdziwie wyższego ukształcenia; piszą listy bez litości niepoprawne; francuszczyzny nie zrzekają się zupełnie, ale ją kaleczą niemiłosiernie; czytają wszystkie *Tajemnice* i tłumaczone romanse z obcych języków; smażą wybornie konfitury; pieką smaczne sucharki; umieją przyrządzać leguminki; częstują wszystkie przyjaciółki fałszywemi receptami na placki; bardzo wiele jedzą; wiele gadają o gospodarstwie; wiedzą, gdzie są wiktuały i towary najlepsze i najtańsze; nigdy prawdziwéj ceny kupna nie powiedzą; w domu używają przydeptanych trzewików; w ubraniu starają się o wielość kolorów; lubią biegać za sprawunkami chociażby za cudzemi; na ulicy nigdy się nie zabłocą, służące ustawicznie łają; tańczą zamaszysto; każdą grzeczność przyjmuja za dobrą monetę; lubią plotki i wiele gadają bez doboru wyrazów; w zamążpójściu nie są wybredne.

Bogobojnych, skromnych, a ludziom potul-

nych dzieweczek, któreby nie znały *savoir parler*, z latarnią szukać potrzeba i to tylko w domach dawnéj religii, dawnéj cnoty; a na nasze wielkie nieszczęście liczba takich domów zmniejsza się widocznie.

Au. Wi.

CO ZNACZY,

Gdy młodzieniec jest dobrze, gdy jest bardzo dobrze

I GDY JEST SKOŃCZONY.

CO ZNACZY,

Gdy młodzieniec jest dobrze, gdy jest bardzo dobrze

I GDY JEST SKOŃCZONY.

Wiadomość w lepszych ale nie w najlepszych towarzystwach schwycona i stylem grubiańskim [1]) opisana przez Au. Wi. ch. fil.

Bywając niekiedy w *lepszych* towarzystwach, słyszałem starsze i młode panie powtarzające: „*Staś jest dobrze,*“ pan Alfred „*jest bardzo dobrze,*“ a niedawno dziewczynka szesnastoletnia objawiła w salonie cioci jenerałowéj, że pan Emilian jest „*skończony.*“ Nie uwierzycie państwo, ilem ja so-

---

[1]) Najznakomitsi recenzenci *vel* krytycy *seu* sędziowie piśmiennictwa w różnych częściach kraju naszego zgodzili się na to, że w moich Ramotach i Ramotkach jest szorstkość, ale nie objawili wysokiego zdania, czyli ten zarzut dotyczy myśli czy wyrażeń?... a to jednakże różnica nie mała!... Rozsądniéj postąpiła ustna krytyka salonowa, wyrzekłszy, że Ramotki są pisane stylem grubiańskim; — gdy zaś zdanie salonów jest niewątpliwe i niemylne, więc tedy wiem z pewnością, że mam styl grubiański.

bie mojéj biednéj natrudził głowy, usiłując odgadnąć, co panie rozumieją pod tém wyrażeniem: „*Staś jest dobrze*," „*Alfred bardzo dobrze.*" i przyznaję się, żem sobie dziwaczne a dla pań nienajkorzystniejsze czynił domysły;—„*skończony*" zaś Emilian tak wielką we mnie wzbudził ciekawość, iż z narażeniem przyzwoitości zapytałem szesnastoletniéj dziewczynki: „Zkąd pani wiesz, że pan Emilian jest *skończony?*"... Szesnastoletnia Wicencya, spojrzawszy na mnie z zadziwieniem, bardzo dowcipnie odpowiedzieć raczyła: „Pan jesteś nieskończony, gdy się pytasz co znaczy *skończony*,—i panna Wicencya umilkła, a jam upiekł raka ze wstydu i z radości;—bo o ilem się upokorzył wyższością wiedzy szesnastoletniéj dziewczynki, o tylem się szczerze ucieszył, żem jeszcze nieskończony. Podług moich prostych wyobrażeń w życiu ludzkiém nie masz nic okropniejszego, jak być skończonym; —ja przynajmniéj pragnąłbym być w całéj mojéj ziemskiéj wędrówce— zawsze i zawsze nieskończonym!...

Nieskończoność to życie! skończoność to grób otwarty! to śmierć z kosą i z łopatą! — *Brrum!* aż mi zimno, gdy pomyślę, że panie, że moi przyjaciele, że świat prawdomówny z litością albo z szyderczym uśmiechem wyrzeknie: „*Ad. Wi. jest skończony!*"

O ty mój opiekuńczy duchu! który mnie szlakiem nieskończoności prowadziłeś aż do téj chwili, nie dozwól, abym za życia mojego był skończony!... Ja pragnę żyć jeszcze dla téj ludzkości, którą całém sercem ukochałem dla sióstr i braci, dla bliźnich; dla tych cudnych nieba błękitów, na których zapisane są „wiara! nadzieja! miłość!“— dla tego słońca, którego jutrzenki codziennie z korną Bogu wdzięcznością wyglądam; dla tych niw ojcowskich, na których wszystkie moje myśli i wszystko uczucie w jedno zestrzeliłem ognisko; dla *Dzwonu* mojego, dla *Ramotek*, dla salonów, dla moich wierzycieli i—dla was, czarnobrewe i jasno-włose miłące się koteczki, — dla wszystkiego pragnę i chcę być nieskończony!.... Jam tego w moim grubiańskim stylu wyrazić, wysłowić niezdolny;... ale trudna rada, od razu głową muru nie przebiję, więc wracam do porządku.

Bynajmniéj odpowiedzią panny Wicencyi nie objaśniony począłem rozmyślać, następnie przez rok cały śledzić i wybadywać: jacy to młodzieńcy są skończeni, którzy są dobrze, a którzy bardzo dobrze. Com zbadał i wyśledził, szczerze opowiem.

Jeżeli zobaczysz wyrostka, który po przymusowém przedukwieniu nauk gimnazyalnych, częstokroć nawet nieskończonych,—albo co gorsza—

z pod stempla guwernerów francuzkich na *Boży* świat wychodząc, żadnego nie obiera zawodu pożytecznego dla kraju, ale natomiast z pośpiechem ustroi się w osobliwe sukienki najświeższéj mody paryzkiéj, włosy żelazkiem przypieka, ciasne nosi rękawiczki,—przytém umie na pamięć kilka grzeczności francuzkich, tańczy *polkę* z zadzieraniem pięty, nie zmyli się w kontredansie i rażącéj nieprzyzwoitości nie popełni,—płeć piękna zawyrokuje w salonach: „*on jest dobrze*," a ludzie rozsądni powiedzą: *to próżniak*, a ludzie naukowi mruknę pod nosem: *to głupiec*...

Jeżeli zobaczysz takiego próżniaka i głupca barczystym, silnie zbudowanym *śmiałym* w salonach *i stanowczo rozprawiającym o kilku powieściopisarzach francuzkich*, płeć piękna zapewni cię, że ten pan jest *bardzo dobrze*.

A jeżeli ów *bardzo dobrze* napisał kilkanaście rymów w imienniku, jeżeli był *za granicą* widział Wezuwiusz! Neapol, Rzym, Paryż i Szwajcaryą; jeździł statkiem parowym na Renie i chociaż przez pół roku słuchał w Berlinie wykładu filozofii, którą *w chwilach uczuciowych* po salonach ogłasza, — i gęsi i gąski i lwice hurmem krzykną: „*skończony młodzieniec!*"... A przecież to tylko bałwan, który za granicą utracił albo nadwerężył zdrowie i majątek,—*bałwan*, który niczém się do

powszechnego dobra nie przyczyni, który się nadyma pokrewieństwem z rodzinami imion sławnych, który w najdroższych hotelach i restauracyach resztki ojcowizny marnuje i skryte zagina parole, — na panny milionowego posagu.

O pracowitym chłopaku albo rzemieślniku, o obywatelu, który szczerze stara się moralny stan ludu wiejskiego podwyższyć a rolnictwo ulepszyć; o zacnym kapłanie religii, o dzielnym wojowniku, o biegłych doktorach medycyny, o poczciwych literatach, o gorliwych i sumiennych urzędnikach, o zdatnych professorach nie usłyszysz, że są *dobrze*, *bardzo dobrze*, albo że są *skończeni*. Te przydomki należą się wyłącznie młodym paniczom salonowym, pasożytom, bezużytecznym trutniom społeczeństwa.... — owym hotelowym dobrodziejom, owym filarom restauracyi francuzkich, owym gospodarzom pikników — itd. itd. [1])

---

[1]) Jeżeliś w czamarze, w ubogiéj kapotce albo we fraku nieco dawniejszéj mody i gładko po francuzku nie paplesz, bez względu na twój charakter i na twoje zasługi *skończeni* nazwą cię: „*mauvais genre:*“ — a znów zyskasz u nich nazwę „*comme il faut,*“ jeżeliś w modném ubraniu kosztowne z nimi odbył bachanalie w jednym z tych ogrodów, w których *skończone* dziewczyny nad ich sercami panują.... Niestety! mamy obecnie wiele *skończonéj* młodzieży.

Każdy ojciec, o którego synach mówią, że są *dobrze*, *bardzo dobrze* albo *skończeni*, srodze rumienić się winien, bo przez zły kierunek wychowania swoich gagatków liczbę darmozjadów powiększył, krzywdę krajowi wyrządził.

OSTATNIE CHWILE,

ŚMIERĆ I POGRZEB

Ś. P. SPIRYDYONA TRYLLERSKIEGO.

OSTATNIE CHWILE,

ŚMIERĆ I POGRZEB

Ś. P. SPIRYDYONA TRYLLERSKIEGO.

— Czy pan śpi?...

— Na cóż ci ta ciekawość; ledwożeś mi stopy ze stawu nie wykręcił.

— Franciszek przyprowadził jakiegoś pana, który chce się z panem widzieć.

— Powiedz Franciszkowi, że niedorzeczność popełnił, przyprowadzając tego pana o 2ej z północy, i sobie powiedz, żeś głupi, budząc mnie ze snu smacznego; — a temu panu powiedz, że się ze mną widzieć nie może, bo ciemno.

— Proszę pana, to ja świecę zapalę, bo ten pan ma pilny interes.

— Zkądże weźmiesz świecy, kiedy ja resztę wypaliłem.

— Proszę pana, zrobię ognia na kominku.

— Pewnie schwyciłeś złotówkę i dla tego jesteś tak bardzo gorliwy. Zapal stoczek, a na drugi raz pamiętaj, aby świeć nie brakowało.

Pawełek wysunął się po zapałki; ja tymczasem wstałem z łóżka i w nocnym tołubku wyszedłem do pierwszego pokoju, gdzie ów pan czekał na mnie z tym pilnym interesem.

Scena po ciemku.

— Któż to przyszedł do mnie?...

— To ja, wielmożny panie.

— Co za *ja?* po co?

— Mój pan prosi pana do siebie, bo już kona.

— Kiedy, gdzie, kto kona?...

— Mój pan.

— I jakżeż się twój pan nazywa?

Scena przy rozpalonym stoczku.

— To ja jestem, Andrzéj, — od pana Trylleskiego.

— Widzę, żeś to ty o.... — czy w istocie twój pan kona?...

— O proszę pana, już od godziny kona a skonać nie może, tylko koniecznie żąda z panem się widzieć. Niech wielmożny pan się spieszy, bo nie skona.

— A to lepiéj, że nie skona.

— Ale gdzie tam, on już zaraz o dwunastéj zaczął konać.

— Może ze strachu zwołujesz mnie a twój konający pan zapewne może i nie żądał widzieć się ze mną.

— Jak tego Boga kocham, tak żądał.

— No ruszajże naprzód, ja zaraz przyjdę za tobą.

— E! chyba, wielmożny panie, pójdziemy razem, bo mnie strach samemu powracać.

Podczas téj rozmowy ukończywszy ubranie, bezzwłocznie pobiegłem do konającego.

W rynku starego miasta na 2-iém piętrze narożnego domu mieszkał Spirydyon Tryllerski, od niedawna exbibliotekarz, niegdyś obywatel *dobrze urodzony*. Gdym drzwi do obszernéj komnaty otworzył, świeca przy łóżku chorego dogorywała i tylko papier złojony nocnym jaśniał płomieniem i jaskrawe rzucał światło na śmiertelnie bladą twarz pana Spirydyona, który oczy kołem postawił, usta zsiniałe ściął, piersią ciężko pracował, a palcami szczypał kołdrę, jakby mu było potrzeba waty uskubać.

Nachyliwszy się do ucha pana Spirydyona, poszepnąłem mu przyjazno: *„podobno pragnąłeś zemną pomówić?...”*

Chory milczał, tylko żar jego ciężkiego oddechu osiadł na ustach moich. Jeszcze dwa razy i coraz głośniéj powtórzyłem moje zapytanie, ale gdym żadnéj nie odebrał odpowiedzi, na świstku bibuły następującą napisałem receptę:

Moschi veri granum unum
Sacchari albi grana quinque
M. f. p. D. t d. N. X.

Au. Wi. ch. fil.

i z tą to receptą wysłałem Andrzeja do apteki. Niezadługo wrócił Andrzéj z proszkami, z których dla pewniejszego skutku, dwa czy wcale trzy zawinąłem w opłatek i konającemu w usta włożyłem, a ująwszy za dolną szczękę, poruszyłem nią kilka razy tak szczęśliwie, że chory połknął owe proszki! Poczém dałem mu jeszcze kieliszek starego wina francuzkiego. W kilka minut jego trupia twarz poczęła przybierać rumieńce, i oczy poczęły się poruszać i *puls* mocniéj bić począł, — w końcu otworzył usta i z wyraźném niedowierzaniem zapytał.

— Czy ja żyję jeszcze?...

— A któż ci powiedział, żeś umarł.

— Tak mi się zdawało... Czy to ty, Auguście?...

— Ja, mój Spirydyonie. Andrzej przyszedł do mnie, oświadczając, że pragniesz ze mną pomówić.

— Dziękuję ci. To już późno być musi.

— Godzina trzecia wybiła.

— Doktór mówił do mego Andrzeja, że nie dożyję godziny 12-éj.

— Jak się przekonywasz, konsyliarz pomylił się najwyraźniéj.

— Tak, pomylił się, ale o kilka godzin tylko, gdyż ja czuję zbliżający się koniec. Myśl moja była już na sądzie Bożym — i tylko jakaś niewidoma siła przywołała mnie na chwilę do ziemi.

— To ja ci dałem trzy proszki, które cię orzeźwiły, a kto wie, czyli ci nie powrócą zdrowia na długie jeszcze lata.

— Nie, nie, — próżna nadzieja, chociaż wyznaję szczerze, że żal mi umierać bez pozostawienia po sobie użytecznych dla ludzkości pamiątek... Zmarnowałem lat kilkadziesiąt... wina to moich rodziców... mojego wychowania. Przy schyłku dopiero zamierzałem pracować... Bóg nie dozwolił téj jedynéj... téj upragnionéj pociechy...

— Nie rozczulaj się.

— O gdyby nie ta kłótnia z panią hrabiną...

możebym nie był popadł w tak ciężką chorobę, — byłbym przy bibliotece pozostał, — byłbym pracował... Ale niepodobna mi było zrzec się uczucia prawdy!... Kazała mi zdjąć rysunek z téj obory... oni tam bydło umieścili na górze, osły na pierwszem piętrze... a ludzi na dole.

Andrzéj. Zawsze panisko o jakiéjś oborze majaczy...

Spirydyon. Odmówiłem téj usługi, odradzałem hrabiemu, twierdząc, że naśladować przebrzmiałych urojeń zwyczaj, urągać chrześciańskiéj wierze odrodzenia ludzkości... jest dzisiaj występkiem... Ale ta podrzędna chęć publicznego blasku, to *ja*, mordujące ludzkość całą... to *ja*, najzjadliwsza trucizna — gangrena społecznego ciała... dla tego, gdyby i w najdrobniejszych, w najniewinniejszych na pozór szczegółach, każdy odcień szatańskiego *ja* należy bez żadnego względu tępić i niszczyć,—gdyby przytém przyszło i część zdrowego ciała skaleczyć... Auguście! weź scyzoryk i wyrznij z mojego ciała to *ja*, które mnie czyniło *nicością* przez lat 40...

Andrzéj. Ojcze nasz, któryś jest w Niebie, święć się imię Twoje, przyjdź królestwo Twoje, bądź wola Twoja....

Spirydyon. Jako w niebie tak i na ziemi. Ro-

zumiesz ty bałwanie, co to jest: *„jako w niebie tak i na ziemi.”*

— Panie Spirydyonie, nie unoś się gniewem... któż widział w czasie słabości...

Chory uścisnął moję rękę, wzniósł oczy do góry i cichemi usty szeptał coś do swój duszy, — zimne krople wystąpiły na jego czoło i zażądał księdza, — i dwie łzy stoczyły się po jego licu.

Czyniąc zadosyć pobożnéj woli chorego, natychmiast wysłałem Andrzeja po księdza, a tymczasem jąłem mu wykładać znikomości światowe, szczęśliwość przyszłego żywota; — prawiłem mu o miłosierdziu Boskiém, podsycałem jego żal i skruchę za grzechy, jakie kiedykolwiek popełnił, — a gdym spostrzegł, że na wspomnienie grzechów niby frebra go trzęsła, więc znów zacząłem w ogólnikach mówić o znikomościach światowych i tak jakoś długo o tych znikomościach mówiłem, aż oczekiwany ksiądz nadszedł i godnie mnie wyręczył w religijnéj powinności przygotowania duszy Spirydyona na daleką wędrówkę.

O godzinie 5-éj sprowadziłem księdza ze świecą po wschodach, a gdym do pokoju wrócił, już chory ostatnie oddał tchnienie, a jego ręce na

krzyż złożone, były zimne i na wieki wieków martwe.

Podumawszy chwilkę nad niedocieczoną zagadką przyszłości zmarłego człowieka, zapaliłem sygaro i wezwałem Andrzeja, aby mi podał lak i pieczątkę do opieczętowania staréj sosnowej szafy i olszowéj na trzech nóżkach komody, jedynych sprzętów, mogących zawierać jakąkolwiek po śp. Tryllerskim puściznę. Lecz Andrzej upewnił, że szkoda laku, bo ani w komodzie ani w szafie żadnych rzeczy nie było.

— A gdzież jest garderoba nieboszczyka?

— Zastawiło się na lekarstwa.

— Jakto, wszystkie rzeczy?....

— Wszystkie, proszę pana, nie masz ani jednego kawałka.

— A w czemżeż go pochowamy?...

— Proszę pana jest szlafrok.

— Głupiec z ciebie; widziałeś téż, żeby kogo chowali w szlafroku,

— E! proszę pana, to jeszcze nowy szlafrok; dadzą się świeże szkarpetki i te haftowane pantofle od panny Emilii. Zresztą w czémżeby go inném pochować, kiedy *het* wszystko żydzi wynieśli. To nie żart przez sześć tygodni ratować się samą garderobą, bo zegarek i ten pier-

ścionek od pieczętowania zastawiłem zaraz, jak pan odstał z biblioteki...

— Słuchajżeż, ja przyślę tutaj moje rzeczy, ubierzesz w nie nieboszczyka, bo w szlafroku nie można go kłaść do trumny.

— Na nic się nie zdało; nieboszczyk głową wyższy od wielmożnego pana, a toćżeby w pańskich rzeczach wyglądał na trzy dziwy i na czwarty śmiech. Już mnie wielmożny pan usłuchaj; pochowamy go w szlafroku, bo téż nieboszczyk najbardziéj lubiał w szlafroku.

Na trzeci dzień, było dżdżysto i posępno, błota na Starem Mieście po kostki. O godzinie 3-éj z południa przed narożną kamienicą zatoczył się parokonny karawan. Na drugiém piętrze zeszło się szczupłe grono przyjaciół, literatów i znajomych; przybył ksiądz z parafii ś. Jana, odmówił modlitwy, święconą wodą pokropił; po raz ostatni przypatrzyliśmy się regularnym rysom twarzy nieboszczyka; wreszcie Andrzéj głośno zapłakał, włożono wieko i ostatnie uderzenie młotka głucho o puste obiło się ściany.

Na cmętarzu nie było księdza, nie było mowy pochwalnéj, kilka garści piasku rzuconych ręką życzliwych osób, otóż i koniec pielgrzymki Spirydyona Tryllerskiego, niegdyś zamożnego obywatela wiejskiego, przed śmiercią

exbibliotekarza i poczciwéj woli współpracownika Dzwonu literackiego.

Pozostało po nim tylko przyjazne wspomnienie w sercach tych osób, które go bliżej poznały, i pozostał rękopism *tabelki bibliograficznéj*, którą po uporządkowaniu w następnych poszytach drukiem ogłosić nie omieszkam, jako wypłatę długu wdzięczności zmarłemu i jako częściowe wywiązanie się względem moich czytelników.

Tymczasem oświadczam, że osieroconą katedrę bibliografii do następnych poszytów rychle opatrzę.

KONIEC TOMU CZWARTEGO.

POMÓWKA.

Na spodziewany zarzut, że w tym drugim oddziale Ramotek znajduje się znaczna część artykułów, już poprzednio drukowanych po rozmaitych pismach czasowych odpowiadam:

1. Odświeżanie pamięci nie jest bezkorzystném, a zasilania pism czasowych nikt z rozsądnych i poczciwych ludzi bynajmniéj za złe poczytać nie powinien.

2. W trzecim oddziale, to jest w piątym i w szóstym tomie wszystkie Ramotki będą całkowicie nowe a czytającéj publiczności najzupełniéj nieznane.

— A więc nie sierdzić się, nie szurmować i nie mantyczyć, ale cierpliwie na trzeci oddział zaczekać a ręczę, że się pogodzimy. Tymczasem proszę mnie kochać i plotek na mnie nie robić, przedewszystkiém zaś Ramotek moich nie ganić, gdyż tego nadzwyczaj nie lubię.

SPIS RZECZY

W TOMIE CZWARTYM ZAWARTYCH.

Strona.

O owcach i owczarzu (z 7-a drzeworytami) 7
Najdroższa na całą Litwę śmietanka (z drzeworytem) 61
Z życia mojego dziadka (z 3-a drzeworytami) 71
List pana Jerzego Łysiny i znalezione przez niego pisanie (z 5-a drzeworytami) 91
List do redaktora Biblioteki warszawskiéj z załączeniem artykułu p. t. Wścieklizna Literacka 129
List do redaktora Biblioteki warszawskiéj, donoszący o natarczywości chorujących na mdłości literackie. 145
Środek, zakończenie, początek; środek i maleńki dodatek (z 2-a drzeworytami) 163
Gilsomina i Remigiusz 209
D. E. F. dla pełnoletnich dzieci (z 2-a drzeworytami) 217
Trudno uwierzyć a jednakże i trudno nie wierzyć 257
Słów kilka o pannach 265
Co znaczy, gdy młodzieniec jest dobrze, gdy jest bardzo dobrze i gdy jest skończony 273
Ostatnie chwile, śmierć i pogrzeb ś. p. Spirydyona Tryllerskiego. 281